



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

STOWARZYSZENIE OPIEKI NAD SŁUGAMI.

Przybywa nam instytucja filantropijna ważnego społecznego znaczenia: Towarzystwo opieki nad sługami, zawiazane pod inicjatywą p. Emilii Dębskiej. Podobne stowarzyszenia istnieją we wszystkich prawie stolicach świata, bo wszędzie potrzeba ich dała się jednakowo uczuć: zażądał ich rozum i serce. Tłumy dziewcząt młodych, prostych, przybywają corocznie do miast wielkich, szukając pracy; wydzielone z rodziny, oderwane od ogniska domowego, od nawyków i stosunków swoich, spotykają się nagle z wirem życia nieznanego, z pracą, do której są mało, albo wcale nieprzygotowane i samotne, dostają naraz smutną swobodę sierot: wolno im rozrządzać sobą, losem, przyszłością swoją. Czyż jakaś pomoc, jakaśkolwiek opieka nad niemi, nie jest obowiązkiem ludzkości? A gdy pomyślimy drugostronnie, że te dziewczęta wchodzi w rodziny nasze; że w ważnym, nietylko ekonomicznym, dziale domowej pracy gospodarczej są pomocnikami pani domu; że żyją z nami przy jednym ognisku domowym, pracując dla nas: musimy uznać, choćby przez prosty tylko rozsądek, że ich moralność, ich uzdolnienie, podniesienie ich dobrych chęci, a usunięcie złych, jest dla nas samych, dla naszego dobrobytu, dla spokoju i moralności naszych domów, rzeczą niezmiernie ważną. Kobieta interes ten najlepiej zrozumieć jest w stanie, i kobiece serce, kobieca tkliwość uczucia powinna też pierwsza wzruszyć się współczuciem siostrzanym dla tych istot młodych, przed czasem usamowolnionych i ujętych w zarznię życia twardymi kleszczami pracy i obowiązku,

niełatwego już ztąd, że się z nim łączy zawistość osobista, stokroć wyższa, niż przy najcięższej z istniejących kiedykolwiek pańszczyzn.

Stało się też prawidłowo, że kobieta podjęła u nas to szlachetne i rozumne dzieło filantropii i użytku publicznego. Zaczyna pani, od której wyszła pocziwa i pożyteczna myśl *Stowarzyszenia opieki nad sługami*, zaliczoną być powinna do grona ludzi zasłużonych krajowi — należy jej się wdzięczność ogółu, wdzięczność, którą przynajmniej ja czuję bardzo żywo. Od powstania „Bluszcza” odzywał się w nim nieustannie głos, przemawiający za tą robotnicą, bardzo zasłużoną, jeżeli dobra, bardzo nieszczęśliwą, jeżeli zła: za służącą. Jako podstawę do poglądów na służbę, na stosunek osoby służącej do pracodawców, w 1867 roku podaliśmy w streszczeniu rozdział z dzieła Juliusza Barnie: „La morale dans la démocratie”, traktujący o służbie; wkrótce potem Żmichowska odezwała się w tym przedmiocie. Do jednej z moich znajomych i wielu nieznajomych było napisane nietylko z właściwą temu genialnemu pióru pięknością i uczuciem, ale głębokie, szlachetne myśli zostały tam rzucone jak ziarna, które niewątpliwie wejść musiały w niejednym kobiecym umyśle, w niejednym kobiecym sercu. I stałe „Bluszcza” obrabiał ten przedmiot, ściśle związany z życiem rodzinnym z moralnością rodzinną, a w *Kronice działalności kobiecej* podawaniem było wszystko, co gdziekolwiek zdziałano na korzyść służącej tak pod względem umoralnienia jej, jak i ulżenia jej doli. U nas jest to w czasie obecnym pierwszy czyn w tym kierunku i raz jeszcze powtórzę, że należy się tej, która tu była natchnieniem, żywa wdzięczność ogółu.

Myśl szlachetna, gdy umiejętnie podniesioną zostanie, zawsze znajduje oddźwięk. Grono ludzi dobrej woli połączyło się z usiłowaniami p. Emilii Dębskiej; wypracowano bardzo zasadniczo i racjonalnie ustawę Towarzystwa, a nawet znalazł się już filantrop, który uzbierał w pracowitym tru-

dzie sumkę złożył jako zawiązek przyszłego majątku towarzystwa. Niejeden dar taki zapewne tu wpłynie i sądzić trzeba, że kobiety, do których serc i interesów sprawa ta przemawia zarówno, odłożą na ten cel grosz jakiś, dobrze użyty wtedy nawet, choćby zaoszczędzonym został na rzeczywistych potrzebach rodziny. Są dobre uczynki, opłacające się ewangeliczną miarką: w dwójnasób.

Członkiem towarzystwa może być każdy, wnoszący rocznie najmniej 3, lub składający jednorazowo 50 rs. Członków honorowych wybiera Komitet Towarzystwa spośród osób, mogących się przyłożyć do rozwoju i dobra instytucji. Członek protektor opłaca rocznie rs. 25, lub składa od razu 250 rs. Członek towarzystwa, chcący następnie dostać służę z kantoru, jaki Towarzystwo założy, wnieść będzie tylko połowę opłaty kantorowej, ustanowionej przez Towarzystwo.

Samo istnienie kantoru Towarzystwa, dającego takie rękojmie moralności sługi, jakich przy najlepszej chęci nie może przedstawiać żaden z istniejących prywatnie, już stanowić będzie dla miasta dobrodziejstwo. Ocenę je każdy, kto zastanowi się zechce nad ważnością wpuszczenia w głąb domu, w środek rodziny osoby obcej, której mniej lub większe uzdolnienie do pracy obowiązkowej, jeszcze najważniejszą rzeczą nie jest. Jej przeszłość, jej charakter, jej skłonności: to zwykłe wielkie a cieniem osłonięte x, które nierazko rozjaśnia się w sposób tragicznie smutny. Gospodynie wiedzą jak książeczka służbowa jest tu niedostateczną rzeczą. Piórem, kreślącym świadectwo, często kieruje pobłażanie, często lekkomyślność, a nieraz, o! nieraz jeden, niesprawiedliwość i uprzedzenie: to, co nam nie daje widzieć belki w oku własnym, a słomkę, u innych dostrzeżoną, do ogromnych rozmiarów podnosi. Przysłowie o sprawie wójta, przez wójta sądownej, tu się właśnie odnosi, i dopiero u sługi, która pewną już liczbę służb zmieniła, przez pewną już liczbę lat jadła twardy chleb tego zarobku, mo-

zna sobie zrobić, biorąc przeciętnie posiadane przez nią świadectwa, pewne o jej charakterze i zdolnościach pojęcie.

A dla sługi, dla młodej, niedoświadczonej, nieświadomej życia a często i stosunków miejskich dziewczyny, dla tej szczególnie, która lekkomyślna i zuchwałą nie jest, czemuż być może pewność, że wchodzi pod dach ludzi uczciwych? Powtórzę też, że samo istnienie kantoru Towarzystwa, wpływającego drugostronnie przez konieczne tu współzawodnictwo na podniesienie moralności i staranności kantorów prywatnych, jużby było dostateczną rzeczą, aby istnienie instytucji stawało się pożądanem i wysoce użytecznem.

Ale jest to dopiero jeden, najbardziej praktyczny i uderzający pożytek stowarzyszenia. Nie się ono za sobą inny jeszcze i niemniejszy: ustawa wyraża, że w miarę zasobów, Towarzystwo będzie kształcić sługi fachowo: na dobre piastunki, kucharki, praczki i tam dalej, co jest wielkim środkiem, i ietylko polepszenia losu sługi i zapewnienia gospodarstwu domowemu robotnie zdalnych, ale podniesienia moralnego poziomu tychże robotnic. Co najbardziej psuje sługi, nawet te uczciwe, pracowite, pełne dobrych chęci dziewczęta, które przybywają do miasta z najszczerzem postanowieniem pracowania sumiennie, zarabiania na chleb w pocie czystego czoła? Nie lenistwo, nawet nie pokusy, jakimi miasto otacza i złudzić może niedoświadczoną, ale brak przygotowania do pracy, która nagle staje się jej zawodem. Trocha wiadomości posiadanych wydaje się wystarczającą biedaczce, nieznającej warunków życia w otoczeniu nowem sobie; sądzi przytem, że zwykłym zarozumieniem młodości i niewiadomości, że tego, czego nie umie, nauczy się łatwo; ale dobra wola, chęć najszczerza niezawsze poddać może zadaniu. Pracodawcy stają się wkrótce z niej niezadowolonymi, ona sama przestaje być zadowoloną z siebie i położenia trudnego dla niej. Obie strony się drażnią, i praca w takich warunkach musi być uciążliwą, musi unieszczęśliwiać, i następuje gorzkie do niej zniechęcenie, a jeżeli sprawiedliwość w sądach o sobie uważana jest ogólnie za cnotę najtrudniejszą dla człowieka, jakże możemy wymagać tego od biednej, moralnie i umysłowo niewyrobionej istoty? Nie posiada jej też większa część sług, całą winę fałszywego położenia zwała na państwo; ich wymagania, ich więcej wyrafinowane gusta i potrzeby uważa za kaprysy, grymasy, znęcanie się nad nią, a ztąd już krok tylko do niechęci, do nienawiści nawet, do uważania swego zawodu, swej pracy za ciężkie roboty karne, z których wielka liczba sług rada-by uciec za jakąbądź cenę. Słysz się ogólnie z ust pań, że dawniej sługi były lepsze; one powtarzają to samo o paniach: i obie strony nie mylą się może. Prostszy obyczaj życia łatwiejszym czynił nabycie potrzebnych słudze wiadomości; z drugiej strony panie więcej same gospodarowały, zajmowały się domem w sposób więcej szczegółowy i dziewczę nieumiejętne znajdowało więcej, niż dziś, sposobności stopniowego uzdolnienia się do swego zawodu. Obecnie potrzebną jest ogólnie sługa już wykształcona odpowiednio; gdzie przecież młoda, początkująca, wykształcenia tego nabędzie? Stary patryarchalny obyczaj już uległ zmianie, a nowa cywilizacja nie dała nam jeszcze szkoły, która-by go zastąpiła. Towarzystwo obiecuje tę szkołę, i to już skłania ku niemu, to w wysokim stopniu potrzebę jego istnienia wykazuje.

Bardzo praktycznym sposobem kształcenia sług jest zapowiedziane przez Towarzystwo oddawanie młodych dziewcząt na naukę do domów prywatnych, gdzieby pod okiem dobrej gospodyni uzdalniały się do swego zawodu. Chwyciło się w Berlinie tego środka *Towarzystwo Niemieckich Gospodyń* i według podawanych sprawozdań, próba ta daje bardzo szczęśliwy rezultat. Młode, najwięcej wprost ze wsi lub małych miasteczek wprowadzane dziewczęta umieszczane są przez towarzystwo według zasobów jego, lub protegowanych przez nie dziewcząt, to za zapłatą, to na odługę, lub, przy pewnem już uzdolnieniu i sile dziewczęcia do pracy, przy zmniejszonych zasługach na czas określony. Następnie towarzystwo oddaje dziewczęta do służby, godząc się za nie, aż do ich pełnoletności, i do tego też czasu, a wrazie chęci

dziewczęcia i dłużej, dobiera im służby, w którychby praktyka stopniowo rozwijała i wspomagała nabyte wiadomości. Jest to może najpraktyczniejszy sposób wyuczania służby, i gdyby dało się z nim połączyć pewne naukowe kształcenie dziewczęcia, można-by go uznać za zupełnie dobry. Nietylko teoria łączy się tu z praktyką w tem, co wiadomości fachowe stanowi: dziewczę nabywa zarazem nawyknień tego ulegania rozkazom, tego układu i usposobienia, które nowicyatem służby nazwać trzeba. Ze u nas podobny środek kształcenia sług może się udać szczęśliwie, poświadcza fakt, że gdy *Bluszcz*, podając w *Kronice działalności kobiet* sprawozdanie z czynności *Niemieckich Gospodyń*, zrobił uwagę, iż nam potrzebna-by była tak praktyczna i łatwa do urządzenia szkoła. Redakcja odebrała wiele listów z oświadczeniem gotowości przyjmowania młodych dziewcząt na naukę. Ale przechodziło to zakres działalności Redakcji i trzeba było dla wprowadzenia myśli w czyn takiej instytucji, jaką jest obecnie Towarzystwo.

Zapewniwszy protegowanym swoim to wielkie dla każdego człowieka dobro: potrzebne do zawodu jego pracy uzdolnienie, Towarzystwo nie spuściło z uwagi drugiego bieguna ludzkiego żywota: rozrywki, zabawy, tych chwil odpoczynku dla ducha i ciała, których potrzeba istocie wszelkiej, aby istnienie jej nie stało się ciężkiem i smutnem. Łuk wciąż wyprężony pęka; człowiek nie może bezkarnie być tym Syzyfem, któryby toczył wiecznie ciężki swój głaz pod górę. Jak dzień i noc dają nam kolejno światło i cień, jak natura rozsiała po ziemi kwiat wśród kłosów, tak życie ludzkie powinno mieć swój promień wesela, coś rozkoszy, coś wytchnienia, tak wzmagającego chęć i krzepkość do pracy, jak sen spokojny i zdrowy, z miłem, wesołym marzeniem złączony. Towarzystwo mieści też między zamierzonymi w przyszłości środkami działania na korzyść sług pod opieką jego pozostających urządzenie gospody, w której-by, oprócz wesel, mogły bywać i inne zebrania, urządzane w celu uczciwej i milej rozrywki. A brakuje tego właśnie społeczeństwu naszemu: nie mamy zabaw ludowych. Dawniejsze, jaknaprzykład puszczenie wianków, palenie sobótek w noc Święto-Jańską, wychodzą z życia, a nowe nie przychodzą ich zastąpić. Warszawa zachowała jedynie już wycieczkę do Bielan w Zielone Świątki i nic nad to, bo igrzyska Wielkanocne na Placu Ujazdowskim nie należą do zalecanych się szczególnie i porządniejsze klasy ludu nie biorą w nich udziału, przypatrując im się jedynie w postawie biernej. Przytem w klimacie naszym potrzebne są zabawy jakieś na tę porę, w której nie można ich używać pod gołym niebem, i kilkanaście już lat temu Kraszewski, przybywszy do Warszawy, myślał o założeniu resursy rzemieślniczej, do którejby miały zarazem wstęp sługi uznane przez wiarogodne panie za osoby uczciwe i moralne. Paragraf 3 ustawy Towarzystwa zapowiada coś podobnego; myśli też zarówno o rozszerzeniu wiedzy i podniesienia umysłowego poziomu sług przez urządzanie pogawędek pouczających. Możeby się dało tu pomieścić także urządzenie czytelnicy i biblioteczki Towarzystwa, jak to czyni podobna instytucja angielska: „Association for Befriending Young Servants“, której członkiem, z początkiem bieżącego roku została właśnie królowa Wiktorya. Angielskie towarzystwo pożycza dziewczętom książki do domu; prosi panie, u których służą, o udzielanie im niekiedy dobrych i zajmujących dziełek, tak popularno-naukowych, jak i dla rozrywki czytanych. Uczęszczanie dziewcząt do teatru pod opieką matron, przez towarzystwo wybranych, należy też w Londynie do działu przyjemności i zabaw udzielanych niekiedy dziewczętom przez towarzystwo.

(Dokończenie nastąpi).

Przekłady z antologii greckiej.

ANAKREON.

Witaj, witaj, krasna wiosno!
Już Charyty sięją róże,
Szemrzą zcicha jasne fale,
A zamilkły groźne burze.

Na jeziorze kaczka pływa,
A w powietrzu żóraw leci....
Rozegnało czarne chmury —
Słonko się uśmiecha, świeci.

Pękają oliwne pączki,
Buja latorośl wielbiona.
Wnet zabłysną wśród zieleni
Moje słodkie winne grona.

TEOGNIS

(Urywki).

O, w górę serca, choćby się zdalo,
Że uleż trzeba;
Duch to lękliwy, co krnąbrnym szaleem,
Bije do nieba.

Przech się w boleści tarzać, gdy ciosów
Nikt nie odwróci;
Zamknąć jęk, który wrogom rozkoszą,
Przyjaciół smuci.

Przenigdy losom wieczystym nie ujdzie
Człowiek, co z prochu się rodzi:
Czy się w mieniące głębie morza rzuci,
Czy w ciemnie Hadesu schodzi.

Gdy ciężar z smutkiem na duszy osiedzie,
Ty cierpliwości wdziej szatę;
Jakiebaż losy bogowie ci zeszlą,
Z modlitwy uczynj objatę.

Na złe i dobre jednako bądź zbrojny,
Nie zginaj karku pod nieszczęść brzemieniem,
Ani też szczęście zwodniczym promieniem,
Niechaj cię w zachwyt nie ciska:
Nic nie jest pewnem przed czasów spełnieniem,
Nic stałem, co widzisz zbliżka.

Alf.

ŻYCIE POD ZWROTNIKIEM

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Kiedy się zupełnie ściemni, naród powraca tak zwaną ulicą Królowej do miasta, do kawiarni, równych paryżkim przepychem i ożywieniem, do teatrów, wielkich i zawsze pełnych, gdzie kilka sztuków cowieczór grają, a do każdej farsy i baletu osobny bilet się kupuje, tak, że się publiczność kilka razy zmienia. Tłum biedniejszy po parku się wałęsa, gdzie pełno wodotrysków, kwiatów

wonnych, roślin podzwrotnikowych, a muzyka wojskowa do jedenastej przegrywa. Do tejże godziny stoją sklepy otworem, bo ludzie majątni lubią robić sprawunki w nocy. Chcąc coś kupić w dzień, posyłają do sklepu, a kupiec przysyła do hotelu lub pomieszkania subiekta obładowanego towarami, jak u nas Węgier pudłem. Wieczorem przeciwnie, udają się Kubianki do magazynów we własnych, nadobnych osobach. Powóz staje na ulicy, przed sklepem. Damy nie wysiadają. Kupiec i kupeczyki wnoszą cały swój zapas i rozkładają go na bruku. Ulice i magazyny są tak rześkie oświetlone, że można-by druk drobny czytać. Zakupy odbywają się na dworze, długo, publicznie, nieraz przy pomocy nieznanego przechodnia, który, nieproszony i niegromiony, po stronie kupujących przeciw sprzedajacemu staje. Na całą tę seryo-komiczną scenę spoglądają poważnie wielkie obrazy świętych patronów, wiszące ponad sklepami miasto znaków. Każdy magazyn miejski ma takiego patrona i jest znany w mieście jako sklep tego lub owego świętego. Widziałem nawet sklep pod dyablem.

W dzień tylko ubogie dzielnice są ożywione. Pełno w nich Murzynów. Hawana posiada najrozmaitsze gatunki tego ludu, we wszystkich odcieniach barwy czarnej i czekoladowej, od zupełnie nagich malców, igrających sobie wśród tłumu bez zgorzenia dla nikogo, do eleganckich Mulatów, jak wykrojonych z żurnala mód. Tu spotykamy tegiego, z Afryki importowanego tragarza, podobnego do olbrzymiej małpy, skaczącej po drzewach podrównikowych; tam się czołga czarny, drżący żebrak bez zębów, z kudłami białymi jak mleko: ale i tragarz i paralytyk i dziecko zdają się gotowi do skoku, niech jeno usłyszą jedną z dzikich, pogańskich, afrykańskich melodyj, przywiezionych ze Wschodu, a przypominających im piekłą ich ojczyznę.

Nie wszyscy Murzyni są niewolnikami. Nie brak w Hawanie wyzwolenców, którzy pieniędzmi, w wolnych godzinach zarobionymi, wolność sobie od łakomych gotówki Hiszpanów i Kreolów kupili. Między takimi wyzwolencami, z których się klasa w służbie cudzoziemców zostająca przeważnie składa, trafia się mnóstwo oryginałów. W naszym hotelu był stary wyzwolenczek *José*, czyli Józef, rodowity Afrykanin, który się młodo wyswobodził, a potem, z wszelkiej ciężkiej pracy skwitowawszy, sobie żył z niezależną oszczędnością neapolitańskiego lazzarona. Głównie się zajmował noszeniem bilecików i posyłek, a taką miał wprawę w wykonywaniu romantycznych zleceń, żeby go żaden Merkurj Warszawskiego Towarzystwa Posłańców nie zawstydził. Jego garderoba składała się z dwóch perkalowych, lekkich, rzadko pranych sztuk odzieży. Niemając kieszeni, zwykł był wtykać wszystkie paczki i zawiniątka poza koszulę. Posłany raz po bułki przyniósł je w tej kieszeni torbę kangurów przypominającej. Nawet nie grymasna gospodyni kreolska musiała się skrzywić na widok chleba w ten sposób przyniesionego. Był to despekt dla jej domu, przed cudzoziemcami. Zgromiony *José* rozwinął tedy ceremonialnie kolorową, przepoconą chustkę, którą głowę obwiązał w braku kapelusza i jął starannie owe bułki obcierać!...

Drugie miejsce liczbą i oryginalnością wejrzenia zajmują w tłumie hawańskim Chińczycy migdałowcy, chytry, spokojni, pełni przedsiębiorczości, oszczędni, pracowici i pojętni, którzy się wszędzie wkreślić, każdego rzemiosła i przemysłu nauczyć, umieją, zawsze są gotowi coś zarobić i utargować. Obywatel Niebieskiego Cesarstwa jest niezrównanym sługą domowym. Jako fagas w liberyi, pomagający *donom* z powozu wysiadać, jako kucharz, praczka, pokojówka, niańka, słowem: wyręczyciel pracy kobiecej; jako przekupień owocami i drobiazgami handlujący, oraz we wszystkich zawodach pilności i pokory wymagających, — jest on pożądanym nad innych konkurentów. Nadaje się także do ciężkiej pracy, nie wstydzi się ulic miejskich razem ze zbrodniarzami zamiatać, ani się nie lęka sypać dróg żelaznych i uprawiać plantacji razem z silniej zbudowanymi Murzynami.

Chińczycy, nakształt Francuzów, nigdy nie emigrują z zamiarem osiedlenia się i stworzenia

sobie ogniska domowego na obczyźnie. W Kubie są oni tylko gośćmi, tak długo przebywającymi, póki sobie owych kilkuset, lub kilku tysięcy, dolarów nie uciulają, za które w tanich Chinach można własne gospodarstwo kupić. Potem powracają do domu. Biedując i pracując, nie wchodzą w bliższe stosunki z hiszpańską ludnością i trzymają się solidarniej za ręce od naszych Chasydów. Zawsze gotowi jeden drugiemu pomódz, dopuszczają się w tym celu bez skrupułu szpiegowstwa, kłamstwa, krzywoprzysięstwa. Język ich niezrozumiały, umiejętność porozumiewania się znakami i giestami, dar pokrywania twarzy niezmienną, rzekomo głupkowatą, uczuciem i myśli, solidarność wkońcu — czynią ich silnymi wobec policyi i sądów. W czasie powstań służą jako zręczni szpiegi, tak Hiszpanom, jak Gerylasom. Pilni i pożądanymi na plantacjach, dostają wysokie myto, tak za robotę zadawalającą, jako też za pokorną usługę. Przychodzą więc łatwo do pieniędzy, ale narodowe nałogi: szulerstwa i używania opium, trzymają znaczną część ich w ubóstwie. Nieraz się zdarzy, że Chińczyk, przybyły do miasta z owocem długoletniej, ciężkiej pracy i zamiarem powrotu do ojczyzny, cały swój fundusik w przeciągu tygodnia zmarnuje w chińskich teatrach, w jaskiniach, gdzie opium palą i domach gry, których pełno w Hawanie. Zgrany i oszukany, powraca na drugą, długą i ciężką niewolę plantacyjną, albo się zbrodni dopuszcza i kończy żywot nędzny w strasznej więzieniu hiszpańskim, pracując na ulicach z łańcuchem i kulą armatnią u nogi. Jak wszędzie, tak i na Kubie, dają oni dużo roboty prokuratorowi publicznemu i nadmierną ilość zbrodniarzy: więc władze ich nie lubią.

Wielu Chińczyków ginie także z ręki kata, na placu *La Punta*, gdzie publicznie złoczyńców garotują. Ta kara nie wydaje się im ani haniebną, ani straszną. Słyszałem, że skazany na stracenie Chińczyk idzie na plac egzekucyjny z twarzą obojętną, żywiąc to przekonanie, iż śmierć go drogą najkrótszą prosto do kraju ojców zaprowadzi. Ten zabobon ma być do tego stopnia w popółstwie chińskim rozpowszechniony, że znajomi i przyjaciele skazanego listami i prezentami dla swych krewnych w Chinach obarczać go zwykli.

Płytki europejscy filantropowie ganią opór stawiany przez społeczności australskie i amerykańskie przeciw najazdowi mongolskich Kulisów. „Jako“, wołają zgorzeleni, „zamykać świat niezajęty i ziemię, całemu rodzajowi ludzkiemu daną, przed jednym nieszczęśliwym plemieniem?“ Ci panowie nie mieli nigdy podobno sposobności zbadania przyczyn antypatii, tak podobnej do siebie w rozmaitych krajach, że samo to podobieństwo już ją w części usprawiedliwia. Pochodzi ona wprost z tego, iż moralna natura chińskich kolonistów jest, albo zgoła nierozwiniętą, albo też rozwiniętą przewrotnie. Skłamać przy lada sposobności, a często bez powodu logicznego, niejako dla przyjemności, jest zabawką dla Kulisa, a przytem tak śmiało i niewinnie w oczy spojrzeć, że chęć bierze mu uwierzyć, chociaż własnych zmysłów świadectwo kłam jego słowem zadaje. Kradnie, ile razy widzi nadzieję bezkarności, a nakształt Spartanów młodych, jest dumny ze zręcznie dokonanej kradzieży. Chiński posługacz pewnego ziomka naszego w Hawanie przyszedł raz do pana i pochwalil się, że już ma pieniądze na przejazd do Hong-Kongu.

— A z kąd je wziąłeś? — zawoła zdziwiony chlebobawca, znający sługę jako szulera i łajdaka, którego się pieniądze nie trzymały.

— A ukradłem! — odpowie tamten z uśmiechem pychy naiwnej.

Rozumie się, że pan zamykał później na trzy kłódki swoją szafę ogniotrwałą.

Żadna narodowość kubańska nie wyrówna Chińczykom w kunszcie fabrykowania cygar i papierosów, nawet w Hawanie, gdzie połowa ubogiej ludności temu przemysłowi się oddaje, a każdy stróż kamieniczny i żołnierz w koszarach w wolnych godzinach dla ubocznego zarobku cygarety kręci. Największa fabryka cygar na świecie: braci Honradez w Hawanie, zajmuje kilka tysięcy Mongołów, których koszary owe miejsca przypominają, gdzie pasażerów trzeciej klasy na okrę-

tach wożą. Są tam długie szeregi wąskich łóżek, zawieszonych przy ścianie jedne ponad drugimi, a poprzedzielanych ciasnymi przejściami. Jedna, dość szczupła sala mieści kilkuset robotników; ale dzięki wzorowej czystości i wentylacji, przez pryncypałów wymaganej, lud ściśnięty w ten sposób utrzymuje się przy zdrowiu. Nad łóżkami wiszą gusła i zaklęcia od uroku, chińskimi charakterami napisane. Pracownice fabryki wyglądają na pierwszy rzut oka pełne kobiet, bo długie rzędy robotników w wolnych bluzach po kostki, z czarnymi warkoczami, starannie naokoło głów obwinętymi, i twarzami bez zarostu prawie nie a nie męskiego nie przypominają. Oczy ukośne tych pilnych ludzi nie zwrócić się na jedno mgnienie od roboty do gościa. Ich zwinne palce poruszają się w jeden rytm, z mechaniczną regularnością nakręconych, maszyną parową poruszanych, narzędzi. Są to żywe manekiny.

Licznie i malowniczo przedstawia się także na ulicach Hawany duchowieństwo i wojsko. W Rzymie samym nie widać więcej księży i zakonników, a duchowni świeccy, w swych czarnych kapeluszach, szerokości kół powozowych, w togach fałdzystych, czarnych, sięgających do ziemi, w czarnych pończochach i trzewikach ze sprzączkami, wyglądają nakształt rycin, ze starej edycji *Don Quixota* wykrojonych. W barwach i kroju habitów mnisich zachodzi niemniejsza rozmaitość, niż w mundurach wojska, którego mnóstwem czuła matka Hiszpania swoją *isla siempre fiel*, czyli zawsze wierną wyspę, w posłuszeństwie utrzymuje. Tytuł wiecznie lojalnego kraju, nadany Kubie, brzmi nakształt ironii przy tem mnóstwie żołdactwa, którego pełno po wszystkich ulicach. Z miny pysznej i zawadyckiego obejścia się żołnierzy poznać, że są panami terroryzowanego miasta. Każdy uchodzi z drogi przed postrach budzącymi *voluntarios*, ochotnikami tak z nasłanych Hiszpanów, jak z lojalnych Kreolów werbowanymi, energiczniejszymi w wojnie podjazdowej od liniowego wojska. Włosy powstają na głowie, gdy się słucha o ich bezkarnych napadach na lud trwożliwy, bezbronny. Oddziały tego hultajstwa ruszają z miasta i wracają doń często, z przyczyn niewiadomych, a każdy taki ruch budzi szeptane pogłoski o powstaniach i spiskach w głębi wyspy. Gdzie spojrzeć, stoją warty. Kędy pójść, krążą ronty i patrole. Białe i błękitne kitle ochotników, z zielonemi lub ponsowemi rabatami, dodają kolorytu każdemu zbiegowisku. Najparadniej wyglądają woluntaryusze katalońscy, kwiat załogi, z najdzielniejszych parobków najpracowitszej i najtęższej prowincyi starohiszpańskiej wybrany. Poznać ich po długich, frygijskich, ponsowych czapkach.

Obecność tego wojska i władzy hiszpańskiej w ogóle jest tem boleśniejszą dla wyspiarzy, że według ich zdania Kuba byłaby teraz już niepodległą, gdyby dziesięcioletnie powstanie było potrwale dłużej. Dziesiątkowane żółtą febrą bataliony europejskie nigdy-by nie były stłumiły rokoszan; ale zręczna polityka, słodkie słowa i wspańiałe obietnice marszałka Martinez de Campos skłoniły ostatnich do złożenia broni. Marszałek wyjechał; następca jego, nowy kapitan generalny, ani jednego przyrzeczenia poprzednika nie dotrzymuje, a ucisk jest większy teraz, niż był kiedykolwiek.

Ulice Hawany są pełne wielu innych, oryginalnych typów i scen. Żydek polski lub Katalończyk ściga nas często z biletemi małej i wielkiej loteryi, które rząd wszędzie kolportować pozwala, niszcząc tym podatkiem szachrajskim całe popółstwo. Straganiarze ulicznych wartoby malować. Są między nimi usłużni Chińczycy i dzikiego pozoru, opaleni Katalończycy w narodowym swym ubiorze i zgrzybiałe Murzynki, otoczone półtuzinem czarnej dziatwy w rajskim negliżu. Olbrzymie piramidy ananasów, platanów, pomarańcz i nad wszystkie owoce smacznych guawów, które transportu poza wyspę rodzinną nie wytrzymują, złożą się pod daszkami płóciennymi, oceniającemi głowy przekupniów, podczas gdy kawał perkalu, rozpiętego z boku nakształt żagla, chroni towar od promieni ukośnych i kurzu. *Sapoty*, słodsze od miodu, *manni*, z brunatną skórką i purpurowem, do ciasta podobnem, wnętrzem, kokosy,

pełne mleka świeżego, wiązanki trzciny cukrowej, łakomie przez dzieci wysysanej,—sprzedają się za bezcen. Za pięć centów papierowych w walucie krajowej obniżonej, dostaniemy dwa tuziny pomarańczy, lub piętnaście platanów, albo tyle trzciny, ileby na popas dla osła wystarczyło. Równa taniość panuje w targu na ryby, który się w marmurowym, białym, do Partenonu podobnym, pałacu odbywa.

Najzabawniej tacy przekupnie wyglądają, którzy swe towary z konia lub osła ofiarują. Taki *vendedor* siedzi sobie bokiem, naksztalt damy, na wysokiej poduszce, i pałac żniczowe papierosy, ciastne uliczki objeżdża z ładunkami, okrywającymi całe zwierzę i zapelniającymi przejazd od muru, tak, iż często w bramie otwartej czekać potrzeba, aż przejdzie ruchoma piramida siana, albo trzciny, z której tylko nos czarny, oczy świecące i parę długich uszu widać. Przed dworcami kolei żelaznej stoją znów rzędy niekuty, prostaczek wozów, którymi się cukier, tytoń i kawa do portu odstawiają. Te wozy są ciągnięte wołami myszatej maści, niewiększymi od naszych byków jednorocznych, uzbrojonymi w długie, rozłożyste rogi, na które uprząż pasuje, bo Kubańczycy nie używają jarzem, ale zaprzęgają bydło za rogi, poniemiecku.

Domowe urządzenia kreolskie są także odrębne od europejskich. Mury kamienie grube, jak w cyta dellach; domy najczęściej dwupiętrowe. Ciężka krata na zawiasach tworzy bramę domu. W oknach niema szyb, tylko żaluzje i kraty misterne z cienkich drutów i sztab żelaznych. Każdy pokój ma okno na ulicę a drzwi na podwórce, dla przeciągu: dlatego w nim chłodno. Na dziedzińcach są ogródki, a konie stoją pod gołym niebem, u żłobów, z braku stajni. Wozownią tworzy wchodowa sien kamienicy, w której się nieraz trudno między wolantem i ścianą do wschodów dostać. Na dole składę i jadalnia, na górze izby mieszkalne. Konie, prowadzone z podwórza, przechodzą przez pokój jadalny. Posadzki wszędzie kamienne, w lepszych pokojach marmurowe. Stoły także marmurowe, krzesła i łóżka z plecionki trzcinowej. Para prześcieradeł na tej chłodnej plecionce tworzy całą pościel Kubańczyka. Sprzętów domowych i mebelków jaknajmniej, nawet w salonie. Najpiękniejszą ozdobą komnaty jest t. z. *candela*, czyli srebrne lub brązowe naczynie z węglem żarzącym się do zapalania cygar; operacya ta odbywa się z licznymi formalnościami, etykietą wyrafinowaną i gracyą książęcą.

Dachy budynków są płaskie. Ściany oddzielające pokoje sterczą kilka stóp ponad dach, dzieląc go—nie wiem dlaczego—na tyle klatek, ile jest izb pod nim. Kuchnia znajduje się w budzie na dachu, inne zaś części jego, zastawione wazonami i do ogrodów wiszących podobne, służą do przechadzki wieczornej. Dla seladona i seniority trudnoby znaleźć miejsce odpowiedniejsze do czułości przy księżycu, od hawańskiego dachu, z widokiem masztów w zatoce, i szklącej się toni, i palm, wysoko ponad światem, daleko od hałasu, gdzie chyba kot ich znajdzie. Szkoda, że tego spaceru przedłużać nie wolno, bo rosa podzwrotnikowa każdą sukienkę przeniknie, a w wyziewach wieczornych, wzbijających się ponad dachy, drgają zarody żółtej febrы, strasznego wroga Europejczyków przebywających w Antyllach.

Na dachach, balkonach i pod oknami serenad nie brak. Kokietowanie nieznanym senioryt dozwolone nietylko wieczorem, ale i w biały dzień, a seladon przechodzący pod oknem, za którego gęstemi kratami nadobną twarzyczkę widać, ukłoni się, choć nieznanemu, tej niedostępnej buzi, poszle jej ciche westchnienie i głośniejsze błogosławieństwo, lub pochwałę jej ocząt. W późny wieczór da jej serenadę, zakłócaną przez stróżów bezpieczeństwa, którzy-to mężni urzędnicy zwykle trójkami po mieście chodzą, a raczej po mieście sypiają, i to w ten sposób, że dwóch śpi, na najmniejszej taffi brukowej, jaką sobie znaleźć mogą, a trzeci czuwa, kutym końcem halabardy o kamienie uderzając, a przytem godzinę nocy i stan powietrza obwołując. Jak już mówiłem, w Hawanie najczęściej pogodnie—pohispańsku *sereno*—więc stróże nocy wołają bezustanku *sereno! sereno!* a ztąd nazwano ich „serenosami“. Noszą

oni mundury średniowiecznego kroju, jakby od jakichś aktorów melodramatycznych zapożyczone. Są uzbrojeni w halabardy, jak piechota Proroka z Leyden, i noszą latarki. Ma to być bardzo niedołączna policya, ale wystarcza dla Hawany, w której mało kradzieży, a wiele rozpusty.

Kubańczycy lubią zjeść dobrze i często, zaczynają dzień pomarańczami o piątej i czekoladą o wschodzie słońca, a kończą go późną kolacyjką. Obiad, *comida*, wypada o szóstej. Kuchnia jest korzenną i czostkową, a jak ci ręczą, co praktykowali, koralowe usta seniority są miłsze dla oka niż dla powonienia. Odbywając długie drzemki w gorącej dnia porze, mogą wstawać rano i późno iść do łóżka. Interessa, nawet urzędowe i bankierskie, odbywają się bardzo rano, w naszym znaczeniu tego słowa, a wieczory schodzą w teatrze, w kasynie, przy walkach kogutów, na które wielkie zakłady robią, na balach, redutach, przy drogich Kreolom grach hazardownych. Całe niedziele upływają w cyrku, gdzie byki walcą z pikadorami.

Ani domy bogaczy, ani gmachy publiczne, ani nawet kościoły miejskie, nie roszczą sobie pretensyi do artystycznej wartości. Pałac kapitana generalnego, czyli gubernatora, jest olbrzymim czworobokiem bez smaku i ozdób. Kamienice arystokracji zbudowane w podobny sposób i tylko po ich ogromie poznać, gdzie wielcy właściciele ziemscy, z bogaceni fabrykanci tytoniu i t. p. liczni w Hawanie milionerzy, rezydują. Olbrzymi teatr Tacon, gdzie pani Jakowicka oklaski i złoto zbierała, jest wielką szopą murowaną, z dodanymi, nędznymi arkadami i domkami. Żadna ze świątyń miejskich nie zasługuje na uwagę stylem i okazałością, prócz katedry, dlatego ciekawej, że jest zbudowaną z żółtego kamienia, który się na powietrzu rozkłada i kruszy, dając kościołowi minę poważną i starożytną. Z każdej strony fasady wznosi się wieża dość malownicza, a chmury gołębi, karmionych w Hawanie kosztem publicznym, jak w Wenecyi, obrały sobie te wieżycy na przystulek i gruchają we framugach kamiennych, przypominając obrazek Syrokomli:

Widziałeś może w potrzaskanym murze,
Jak młody gołąb' cudzy i nieznany,
Z dalekiej strony zapędzon przez burzę,
Trzepiąc skrzydełka, tuli się do ściany....

W tej-to katedrze umieszczono nagrobek Kolumba, popiersiem wielkiego Genuńczyka, Amerykę na globusie pokazującego, ozdobiony. Prochy króla żeglarzy i odkrywców spoczywają rzekomo pod tym marmurem, ale ich autentyczność została w ostatnich latach przez mieszkańców miasta San Domingo, na Haiti, zakwestyonowaną. Hawańczycy utrzymują, iż Dominikanie tendencyjnie się mylą, bo zwłoki Kolumba dawno z ich miasta do Hawany przeniesione zostały, a tamta strona nazywa Hawańczyków świętokradzkimi fałszerzami relikwii. Nagrobek w katedrze Hawany nie ma żadnej wartości artystycznej.

Innym, ciekawym zabytkiem dawnej Hawany, jest kościółek *Temple* przy *Plaza de Armas*. Kapliczka ta stoi na miejscu, gdzie według tradycyi Krzysztof Kolumb pierwszej mszy po wyładowaniu w Kubie wysłuchał. Otwierają ją i odprawiają nabożeństwo w niej tylko raz na rok, w rocznicę odkrycia wyspy.

Plac naokoło niej jest głównem miejscem rozpustnych karnawałowych zabaw ulicznych dla murzyńskiego motłochu: więc dziedzińiec i wschody pamiątkowej świątyni bywają świadkami scen wyuzdanych. Wogóle Hawańczycy okazują mało uszanowania dla miejsc świętych. W katedrze, gdzie szczątki wielkiego i świętego męża spoczywają, sama służba kościelna turystów oprowadzająca, daje przykład lekceważenia domu Bożego; a dewotki uczęszczające pilnie i licznie do kościoła, nawiązują wszystkie swe intrygi sekretne u bramy katedry. Ktoby się tego domyślił z ich pobożnej minki, gdy klęczą godzinami na dywanikach, rzuconych przez ich służące na marmurowe tafle kościoła, w którym niema ani jednej ławki, ani krzesła! Mężczyzn nie widać na nabożeństwach. Nie podlega też wątpliwości, że

w sercu Kreola więcej się zabobonu, niż religijnego uczucia znajduje.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie)

Zygmunt uchwycił podaną rękę; mocne wzruszenie było w nim widocznem: nie myślał go ukrywać. Nie mógł przemówić.

Jakgdyby Ludmiła udzieliło się to uczucie, i ona trochę się zmieszała, lecz natychmiast odzyskała władzę nad sobą.

— Znajdujesz mnie hrabia—poczęła spokojnie—mówiąc ponaszeru—na własnych smieciach, mieszczanką florencką, starą gospodynią a potrosze jeszcze—niby artystką.

Spojrzała na niego, uśmiechając się; Zygmunt zbierał myśl.

— Dzięki Bogu — odparł — że panią znajduję spokojną i obytą z tem życiem na obczyźnie, ale te lat dziesięć!

— Tak! w ciągu tych lat dziesięciu przeżyłam wiele—odpowiedziała Ludmiła, zawsze z tym samym spokojem. — Pocieszam się jednak tem, że w miarę sił moich wyszłam z walki zwycięsko. Miałam nawet siłę wyrzec się marzeń i zaprzężyć do roboty dla powszedniego chleba, co mi się też liczyć powinno.

Zwolna Zygmunt się uspakajał.

— Teraz mogłabyś już pani — rzekł — powrócić do nas.

— Powrócić?—odparła Ściborzanka—po co?

Nie chcąc dalej mówić już o tem, spytała zaraz o stryjka i jego rodzinę.

— Hr. Kantego widziałem na wyjeździe—odezwał się Zygmunt.—Zestarzał się bar dzo; w starości brodawki rosną a widoczniejszemi się stają i słabości ludzkie; hr. Kanty podupadł bardzo—ale serce tożsamo. Hrabina stała się nabożną.

— A Cesia?

— Świetnie za męża wyszła—rzekł hrabia—choć może serce w tem nie miało udziału.

Powiedział nazwisko, którego Ludmiła nie знаła.

— Julian—dodał—gospodaruje na wsi, poszukując towarzyski życia, o którą matka oddawna się stara dla niego.

Podczas opowiadania, które się umyślnie może przeciągało, aby zastąpić miejsce drażliwszego jakiegos przedmiotu, Sitko widział tylko mieniące się wejrzenia, a po twarzach przechodzące rumieńce, chmury, błyski.

Nie rozumiał nic.

— Ostygli zupełnie oboje—mówił sobie—może to i lepiej.

Na żądanie hrabiego Ludmiła poprowadziła go do pracowni swojej. Wśród mnóstwa kopij pozaczynanych nie było tu ani śladu własnych kompozycji, niczego, coby okazywało samoistną artystkę. Ale ztąd drzwi stały otworem, na pół tylko przyślonięte starym gobelinem, a przez nie widać było pokój wiodący do sypialni.

Nie broniono ani tu spojrzeć, ani wejść. Sitko spostrzegł, że ściany całe zawieszane były własnymi kompozycjami Ludmiły. Powtórzony młynek, kościółek, las u brzegu wody, niezliczone mniejsze wspomnienia ledwie się pomieścić mogły na dość szczupłej ścianie powierzchni.

Ludmiła w chwilach spoczynku malowała je dla siebie.

Hrabia, stojąc wzruszony przed krajobrazami temi, nie mógł się wstrzymać od wykrzykników.

— Ale to widoki z Brzegów, to część domu, to

kawałek parku, to las za nim, który teraz jest do niego wcielony.

Ludmiła się zarumieniała i wyciągnęła rękę ku niemu, a głos jej po raz pierwszy zadźwięczał i jakby zalczał.

— Dzieki wam, hrabio, za ocalenie drogiej tych miejsc od profanacji. Gdybym wam za życzliwość dla mnie już nieskończenie wdzięczną nie była, za dokonanie tej myśli musiałabym was kochać.

Wyraz ten wyrzeczony śmiało, Sitkę rozpromienił; spojrział, zdziwiony niesłychanie. Hrabia i Ludmiła trzymali się milczący za ręce. Zygmunt miał twarz odmłodzoną i jasną. Ludmiła patrzała na niego.

— Któż ich zrozumie? — rzekł w duszy Sitko.

Odstąpił parę kroków i, nie czując się tu bardzo potrzebnym, wysunął się pocichu do pracowni, w której z nadzwyczajną pilnością przyglądać się zaczął kopiom z Fra Angelico.

Z drugiego pokoju dochodziły go szepty, głosy, słumione wykrzykniki, potem żywa rozmowa, potem jakieś milczenie niewytłomaczone i znowu cicha a szybka wymiana urywanych słów.... Niby sprzeczka, niby błaganie — Zygmunt mówił coś długo, głosem drżącym.

Sitko ciągle przyglądał się obrazom. Przez odsłoniętą portyerę nieśmiały wzrok rzucając, widział tylko Zygmunta pochylonego nad ręką, którą całował, a ta mu się wcale nie wyrывała. Jak skamieniały obawiał się poruszyć, aby nie przeszkodzić, nie przerwać. Nie spodziewał się jednak wiele z tej rozmowy, pamiętając nadzwyczajną Ludmiły obojętność i ostrygnienie. Żal mu było hrabiego serdecznie, iż darmo wysiłał się na pozyskanie tego, co jemu, Sitce, zdawało się niepodobnym.

Zaczynało się zmierzchać powoli, a rozmowa jeszcze nie ustawała. Sitko już ani na stalugach, ani na ścianie nie widzieć nie mógł; patrzył przez okno na maleńką trateryę, przed którą stał osiołek z koszykami próżnymi na grzbiecie i — porównywał los swój do tego pocziwego zwierzęcia, które zdawna było mu bratersko sympatycznym.

Uwagi nad losem osłów i ludzi byłyby się przeciągnęły może do nieskończoności, bo Prosper nie miał innego przedmiotu do rozważania, gdy Ludmiła krokiem powolnym, prowadząc za sobą hrabiego, wyszła z pokoju dopracowni i, zobaczywszy Sitkę, zawołała wesoło:

— Że też pan tak będąc usłuznym, nie wyręczyłś mnie i nie powiedziałeś Bettinie, iż gościom należy się woda, wino i owoce przynajmniej! Na marszałka dworu się pan nie zdałeś.

Sitko wybiegł natychmiast, a gdy powrócił, w salonie zastał Ludmiłę z hrabią na wesołej, obojętnej — o włoskich obyczajach rozmowie. Rzucał na nich okiem.

— Chwała Bogu — rzekł w sobie, że hrabia odprawę wziął tak — z rezygnacją i nie psując sobie serca nadaremnie. Nie dziw — po dziesięciu latach wszystko to, jak Włosi mówią: *tempi passati* i sentymenta też *passati*! Dobrze, iż się nie gryzie tem zbyt cznie.

Sitko tem więcej się radował, im dłużej swobodna rozmowa, przerywana śmiechami, przeciągała się, a hrabia po sobie nie dawał poznać bynajmniej, aby go obojętność Ludmiły obchodziła żywo.

— Ma rozum! — mówił Sitko, dolewając sobie wina, które popijał, i mało się miesząc do rozmowy.

Przy pożegnaniu Ludmiła zaprosiła obu na włoski obiad na dzień jutrzejszy. Sitko był uradowany, iż wszystko szło tak pięknie, gładko i bez tragicznych scen, których się lękał.

O kilkanaście kroków od domu nagle Zygmunt rzucił się na szyję Sitce, który zląkł się wybuchu i już zabierał się pocieszać hrabiego, gdy — usłyszał wyrazy:

— Mój pocziwy Prosperze! Ileżja ci winienem! Jestem najszcześliwszym z ludzi!

Sitko dopiero się teraz, jak olśniony błyskawicą, domyślił, że za gobelinem hrabia nie dostał odkosza.

Poskoczył do góry, podrzucając kapelusz i bez względu na uszanowanie, płacząc, począł z całych sił ścisnąć hrabiego.

Hrabia Kanty siedział w krześle swem, w po koju dum, w którym mu było najmilej, cmokając cygaro ciągle gasnące, oddawać się marzeniom. — Była godzina poobiednia, dzień niepostny, hrabia prawie się nie czuł głodnym, — a z przyjemnością przeczuwał herbatę z dodatkami, gdy przed gan kiem zaturkotało. — Ktoś zajechał.

W zasadzie Kanty gościom nie był przeciwny: dla nich wszystkie herbaty, obiady, wieczery zawsze musiały być nieco obficie i wykwinniej podawane. Na zabawienie przybyłych nie wysi lał się hrabia; po pierwszym przywitaniu oddawał ich na pastwę żonie.

— Kto przyjechał? — zapytał wchodzącego ka merdynera.

— Hrabina Cecylia.

Do córki, która naprzód musiała się z matką poufnie długo rozmówić, hrabia nie potrzebował spieszyć. Obrachował tylko, że dla Cecylii, która lubiła owoce, będzie zapewne do herbaty coś — dobrego dodaniem; a że po drodze potrzebowała posiłku — mógł być półmisek mięsny.

Kotlety cielece z szampinionami? Gdybym zgadł? — pomyślał hrabia.

Od kotletów myśl jego przeszła zaraz do męża hrabiny Cecylii, który miał bokobrody w kształ cie kotletowym, potem do kalafiorów rosnących przy inspektach, dalej do gąsienic widzianych na liściach, do tytuniu.... i hrabia cygaro zgasłe zapalił.

Lecz w tejże chwili, gdy się wcale niespodzie wał odwiedzin córki, hrabina Alfonsyna i Cecylia wtargnęły do pokoju, zarumienione, ożywione dziwnie, tak, że trudno się było domyślić: czy się cie szyły czemś, czy gniewały.

Hrabia, trochę przestraszony, pomyślał: czy mąż Cecylii nie zbroił czego; wiedział, że stosunki między małżonkami były bardzo naprężone.

Zerwał się z krzesła.

Cecylia witała go.

— Wie papa wielką nowinę?

— A? nowinę? jaką? nie nie wiem.

— Hrabia Zygmunt wyjechał był do Włoch...

— Dla piersi!....

— Ale gdzie tam! — przerwała Alfonsyna. Osza lały człowiek! dał się złapać w zastawione sieci tej intrygantce. Dziesięć lat nad tem pracowała, aż w końcu na swoim postawiła.

— Ale — kto?

— Najukochańsza synowica acana dobrodzie ja! — dygając zawołała, hrabina — panna hra bianka Ludmiła, a dziś hrabina Zygmunto wa.

Hr. Kantemu usta otworzyły się szeroko tak, iż wszystkie zęby, których mu brakło, można by ło policzyć; — lice się rozjaśniło — zaróżowiło, oczy powiększyły, marszczki twarzy wygładziły i — bez względu na ironiczny ton żony — krzyknął: — A! to ślicznie! a to cudownie....

Hr. Cecylia nie uważała tego ani za cudowne, ani za śliczne; brwi jej były namarszczone, młoda twarzyczka nabrała złośliwie surowego wyrazu.

— Dla nas to szczególnie miłe i zabawne — za wołała, że tę awanturkę, co się nie wiem ile lat włóczyła po całej Europie pod bok z szującą tą ar tystyczną — jako kuzynkę i hrabinę Zygmunto wą będziemy musieli przyjmować, — cieszyć się jej szczęściem i znosić jej sarkazmy!

— Nie! to prawie nie do uwierzenia! — przerwa ła matka. — Dziesięć lat! — Ten człowiek zmysły po stradał! Jego pod kuratelę oddać należało....

Obie panie były tak oburzone, że jak ślimak ro gi, tak hrabia musiał radość swą schować i zrobił minę neutralną a kwaśną.

— Ale, zkądże ta wiadomość? — zapytał hrabia.

— We wszystkich gazetach stoi, cały świat o tem trąbi — mówiła Cesia — ludzie z podziwienia wyjść nie mogą. Znaleźli się kochankowie — Abe lard z Heloizą — nad Arno, we Florencyi, i tam zaraz ślub się odbył.

Co chwila spodziewają się ich w Brzegach.

Hrabiemu natychmiast przyszło na myśl, iż zo stanie zaproszony: widział już to wszystko, co na półmiskach znaleźć się powinno. — Karezo chy! — rzekł w duchu — byleby mieli rozum dać *fonds d'ar tichaut*!

Matka i córka uspokoić się nie mogły. Ze skarbnicy plotek, w której stare i nowe się prze chowywały, poczęły się sypać najdziwniejsze, dotyczące Ludmiły. Alfonsyna utrzymywała, że miała nieskończoną ilość romansów, że z ich po mocą obrazy swe sprzedawała; że z Paryża, z po wodu skandalu jakiegoś, uciekać musiała i kryć się gdzieś we Włoszech.

— Ale, proszę cię, — zawołał Kanty, trochę do tknięty — co komu do tego, jeżeli wkońcu robi ma ryaż tak świetny? Nikogo to nie obchodzi, jeżeli hr. Zygmunt raz jej rękę podał u ołtarza. Kto tam z przeszłością wchodzi w takie rachunki!

— Intrygantka! — zawołała Alfonsyna. Co to za wyrachowanie! I swoje Brzegi odzyskała na powrót!

Ktoby się tego po jej mince układnej spodzie wał!....

Rozmowa toczyła się jeszcze, gdy hrabia Julian konno nadjechał, wioząc tężsamą, zdumiewającą, wiadomość; naraz wpadł z nią do pokoju ojca.

— Ale to stara panna! — wołał, unosząc się — ma lat około trzydziestu.

— Z okładem! — dodała matka.

— Prawda, że musiała zawsze być bardzo in teressującą — rzekł Julian — a Zygmunt, między nami mówiąc — ciemięga.

— Oplątała go! — westchnęła Cesia — gdyby nie ona!

Nie chciała dokończyć — ale dla wszystkich było to zrozumiałem.

Hrabia Kanty pomyślał w duchu: — Ja zawsze ja miałem za niepospolitą kobietę! Żeby też sobie tak rady dać i umieć wyjść z takiego położenia — Sama jedna!!

K O N I E C.

PRELUDYUM SZOPENA

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE

oryginalnie napisany

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

SCENA IV.

Ewa. — Ludwik.

Ewa

Ten pański przyjaciel zdaje się mieć łuk w u stach, a zamiast języka kołczan ze strzałami.

Ludwik

Broń Boże, dzisiaj tylko coś mu tak wyjątkowo humor zepsuło. W gruncie jest to najzaczniejsza na tura i najszlachetniejszy charakter, jaki mi się spotkać zdarzyło. To materyał na bohatera ro mansu.

Ewa

Pan, bo jesteś optymistą wogóle. (*Siada*)

Ludwik

Nie — tylko co do kobiet; ale pani podkopujesz mój optymizm.

Ewa

Czy dlatego, że bronię się wszelkimi siłami, aby nie okazać się.... słabą, jak inne?

Ludwik

Przypuśćmy, że i dlatego.

Ewa

Myślałam, że pan, człowiek wyższy, poczytasz mi to za zasługę. Wyrzucacie nam na każdym kroku naszą wolność, a gdy która chce być silniejszą, bierzecie nam to za złe. *(Podając mu rękę)* Rozepnij mi pan rękawiczkę.... Jestem tak znudzona, oszołomiona tą dzisiejszą przechadzką, wranieniami, rozmową....

Ludwik *(rozpinając rękawiczkę powoli)*

I rozmową?

Ewa

Ach, nią najbardziej!.... Co też mi pan nagadaleś w ruinach! jeśli tam są jakie duchy, co mają uszy przynajmniej, to ze zgorzenia wyniosą się ze starych murów raz nazawsze. Gdyby tam nie było Lola z nami...

Ludwik *(całuje ją w dłoń)*

Ewa

Znowu?....

Ludwik

Dziękuję za robotę....

Ewa *(podając mu drugą rękę)*

I prosisz o drugą?....

Ludwik

Żałując w tej chwili, że nie jesteś pani, jak bóstwo indyjskie, o kilku parach rąk, które mógłbym z tych więzów uwalniać.

Ewa

I całować?....

Ludwik

Czy w tem co dziwnego?.... Ręka pani jest arcydziełem elegancyi.

Ewa *(wyrzucając rękę)*

Stare bajki! mój panie. Chyba pan nie wiesz, że pewien rzeźbiarz we Włoszech odlewał moje ręce w gipsie?.... był to hołd oddany im przez fanatyka artystę. Po tem uwiecznieniu nie mówi się już więcej o moich rękach.

Ludwik

Więc o czem jeszcze wolno mówić przy pani? O sercu swoim zabroniłaś mi już wspominać.

Ewa *(z westchnieniem)*

O mojem sercu? albo ja mam jeszcze serce? Było tam coś kiedyś, kołatało się, rwało i... zaniemiało. Eh, nie mówmy o tem.

Ludwik

Dlaczego?

Ewa

Dlatego, że umarłych się nie budzi....

Ludwik

Widocznie wyznajesz pani zasadę poety: „Gdy na dziewczynę zawołają: „Żono“, już ją żywem pogrzebiono“.

Ewa

Nie, bo wiem, że są takie, co z takich grobów zmartwychwstają; ale to już mary tylko, którym

nie wolno w jasny dzień pokazywać się przed ludźmi. Lepiej leżeć spokojnie i udawać letarg, jeżeli się naprawdę nie umarło.

Ludwik

Ale, jeśli się ma prawa do życia, jeśli się czuje do niego pragnienie, jeśli się ma więcej niż prawa, bo przywileje do szczęścia, tak, jak pani?

Ewa *(powstając)*

Panie Ludwiku, nie mówmy więcej o tem *(przechadza się wzburzona)*! Zapisanem było widocznie w wyższych wyrokach losu, abym została żywem zagrzebaną, wydziedziczoną ze wszystkiego, nawet z kilku chwil rozkosznego marzenia, nawet z przyjacielskiego uścisku ręki i słowa współczucia. Nic—nie mówmy o tem.... *(pocichu)* Wyznałam panu tajemnicę mego życia, panu jednemu odkryłam tę okropną, cmentarną pustkę w mem sercu, które od najpierwszych lat samopoznania domagało się miłości, prawdziwej, głębokiej, bezinteresownej. A tymczasem, świat mi dał.... *(z gorzkim uśmiechem)* trochę kłamanych affektów, dużo hołdów, kadzidła, dymu, kłamstwa i fałszu. Los rzucił mi pod nogi puste głowy słoneczników salonowych, którzy się za mną, jak za słońcem, zwracali,—za słońcem, co ich zapalało i oślepiało swym blaskiem. Ale mnie nie tego trzeba było.

Ludwik

A mąż?

Ewa

Mój mąż? znał moją hypotekę lepiej od mego serca, w które nawet zajrzeć nie raczył, ani przed ślubem, ani po ślubie. Kazali mi wybierać: więc wybrałam jego, bo lepszych nie miał rywali.

Ludwik

A dziecko?

Ewa

Dziecko? no, tak! ale dziecko kocha się miłością, którą musi podniecić miłość dla ojca jego, a jeżeli.... ale po co ta rozmowa? Zostaw mnie pan taką, jaką jestem. Jaką mnie świat chciał mieć, taką mnie ma.... *(Przechadza się wzburzona, nucąc, po salonie)*.

Ludwik *(siadł w fotelu i zamyslił się.—Chwila milczenia)*.Ewa *(zbliżyła się do Ludwika i listkami róży, którą miała u gorsu, obrzuca go)*.

O czem-że tak?

Ludwik *(przebudzony z zamyslenia)*

O pani *(ujmuje jej rękę i do ust przyciska)*. Szukałam wyrazu, któryby był samą prawdą i zakłębieniem dla pani.... serca w letargu.

Ewa

I miałbyś pan odwagę wypowiedzieć je?

Ludwik

Miałbym.

Ewa

Szalony!

Ludwik

Zapewne, ale ten szal pani zaszczerpiłaś w moje zmysły. O powiedz, powiedz: za takie słowo, któreby duszę twoją zbudziło do nowego życia, co byś oddała?.... mów!

Ewa *(wpatruje się mu w oczy przez chwilę potem półgłosem mówi:)*Wszystko! *(odchodzi śpiesznie w głąb)*.

Ludwik

Ha!.... Mamże wierzyć?

Ewa

Jak pan chce.... *(idzie do fortepianu, siada zmęczona, przerzucając w rozłargnieniu nuty, leżące na pulpicie)*.

Ludwik *(podąża za nią, staje obok, z uczuciem głębokiem)*

Pani, Ewo!.... Ta chwila jest przełomem w mojem życiu; czuję, że się coś strasznego we mnie dzieje, jakiś chaos budzi się w mej przepełnionej piersi. Pod wpływem tego czaru, który mnie opłamał, odkąd odezwałam się do mnie tą skargą, jak echem zpoza grobu, ja.... ja przestaję panować nad sobą i drżący jak dziecię stoję, aby ci powiedzieć, że cię....

Ewa

Panie Ludwiku! zaklinam pana.... *(uderza w klawisze i zaczyna grać początek Preludium A. Dur)*. Ja nie chcę słuchać cię więcej!

Ludwik *(zatrzymuje się, niestuchając, potem z jękiem zasłania sobie oczy i odwraca się od Ewy)*

Boże!.... to Preludium, teraz właśnie....

Ewa *(sposrzedłszy jego pomieszczenie, nie przestając grać dalej)*

Co to znaczy? co się panu stało?

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Magnetyzer Donato. — Fundacya emerytalna dla nauczycieli szkół ludowych imienia Mickiewicza. — *Biała gołąbka*. — Teatr letnie. — Kości w podziemiach „Spalonej akademii“. — † Malarz Sidorowicz i Kalixt Orłowski. — Zakład chłopców osierociałych pod wezwaniem św. Antoniego. — Festyn ludowy na dochód „Pracy kobiet“. — Karol Wild. — Spółzawodnictwo wydawnicze księgarń lwowskich. — Wydawnictwa księgarń Gubrynowicza i Schmidta. — Kompletne wydanie pism Mieczysława Romanowskiego. — Biblioteka „Mrówki“. — Pan Tadeusz z ilustracjami Andriollego. — Poezje Bolesława Czerwińskiego. — Medal przyznany przez Akademię hiszpańską Platonowi Kosteckiemu. — Wystawa Sztuk Pięknych.

Lwów, w Czerwcu 1881 r.

Pan Donato, magnetyzer, członek rozmaitych akademij, i sławne jego, najznakomitsze w Europie, a podobno i w całym świecie, *medium*, panna Lucylla, zawadziwszy o Lwów w przejeździe, byli głównym przedmiotem zajęcia publiczności tutejszej. Mielśmy cztery przedstawienia w sali Kasyna Miejskiego, podczas których mistrz kilku rzutami ręki, umiejętnie obmyślanemi, wprowadził w sen magnetyczny swe *medium*, najrozmaitsze przedsiębiorając próby znieczulenia całego systemu nerwowego operowanej i starał się je przeprowadzić do tak czulej drażliwości, aby obiekt jego jasnowidział nawet myśli niewypowiedziane, słyszał jaknajcichszy szmer słów nieznanego sobie języka i powtarzał je ku największemu zdziwieniu wszystkich obecnych. Po każdej takiej próbie jednym technieniem przywracał p. Donato do przytomności swe *medium*, niewiedzące wcale, co się z niem działo podczas snu magnetycznego. Doświadczenia te, czy jak je mam nazwać, budziły coraz większą ciekawość powszechną, tak, iż po pierwszym przedstawieniu, na którym sala dosyć była próżną, następne coraz więcej gromadziły

ciekawych, a gdyby niebardzo wysoka cena. byłoby ich było znacznie jeszcze więcej. I nie sama tylko próżna ciekawość obaczenia czegoś niezwykłego ścigała tutaj widzów. Wiele osób spieszyło na widowisko w celu naukowym, w chęci obserwowania doświadczeń pana Donato dla sprawdzenia siły magnetyzmu zwierzęcego i rozmaitych jego objawów ze stanowiska umiejętności. Przyrodnicy, profesorowie, wielu lekarzy zdążyło, aby zbliżyć się do świadczeń i wyciągnąć z nich stosowne wnioski. Badali pod czas snu bicie pulsu, stan zmysłów, wzroku, słuchu, obiegu krwi i, jak zwykle w świecie, jedni wyszli z utwierdzeniem przekonaniem, drudzy, niepoprawni niedowiarkowie z tym samym sceptycyzmem, z tą samą niewiarą w jasno widzenie najpierwszego w Europie medium i potęgę belgijskiego magnetyzera, z jaką przyszli na widowisko. Nie wchodząc wszakże w to, co o przedstawieniach pana Donato orzekną uczeni, i o ile wynik ich badań nad doświadczeniami publicznie przedsięwziętymi przyczyni się do postępu nauki, do rozszerzenia i sprawdzenia wiadomości naszych o istocie i sile magnetyzmu zwierzęcego: dla profanów, dla codziennego widza, przedstawienia te obok zasyceń ciekawości, odznaczają się czymś, przykre wywołującym w ogóle wrażenie. Jest coś, powiedziałbym, barbarzyńskiego w tem przekuwaniu wężego ciała ludzkiego ostrymi narzędziami, chociażby nawet rany istotnie żadnego nie sprawiały bólu; w tem, że tak powiem, pastwieniu się w rozmaity sposób nad znieczulonym ciałem, w przykładaniu gorejącej świecy do otwartych, zneruchomionych źrenic. Pan Donato oświadczał wielokrotnie, że z równą łatwością mógłby wprawić w sen magnetyczny każdego z widzów, ale zabroniła mu tego czynić władza bezpieczeństwa. I bardzo słusznie, a kto wie: czy i niedogodniej dla samego pana Donato? Gdyby na przykład zarząd Kasy Miejskiej miał być jasnowidzenie kiedy i dokąd mistrz magnetyzmu ze swoim *medium* pod zasłoną romantycznej nocy pośpiesznym pociągami wyruszy ze Lwowa, nie byłby zapewne zniewolonym zaniechać owych pożegnawczych formalności, jakie się zazwyczaj przy odjeździe załatwiają.

Na mający stanąć w Krakowie pomnik dla Mickiewicza ofiarowała tutejsza Rada Miejska *tyśiąc* guldenów, które odesłano na ręce d-ra Wajgla, prezydenta miasta Krakowa, przewodniczącego w Komitecie. Zawiązał się i tutaj we Lwowie Komitet celem zebrania funduszu mającego nosić nazwę Mickiewicza, a przeznaczonego na stypendya emerytalne dla zasłużonych nauczycieli szkół ludowych. Fundacja ta w pięknym podjęta celu: niesienia pomocy uczciwej pracy i zasłudze, jest zupełnie samoistną, nie ma żadnego związku ze sprawą pomnika. Główną pobudkę do utworzenia jej dali członkowie Towarzystwa Pedagogicznego. Namiestnictwo pozwoliło zbierać składki w całym kraju. Jeżeli się te składki powiodą, o czem chyba wątpić nie wolno, fundacja będzie dobrodziejstwem dla nauczycieli ludowych, którzy w większości swej dziś z niedostatkiem walczą o życie. Oprócz składek stara się Komitet innemi także, używanemi zazwyczaj w takich razach, sposobami pomnożyć dochody zamierzonej fundacji, jako to: przez urządzenie odczytów, widowisk publicznych i t. p. Dyrektor teatru, p. Miłaszewski, odstąpił na ten cel bezpłatnie jedno przedstawienie do rozporządzenia Komitetu. Odegrano dramat *Biała gołąbka* pierwszy utwór na scenę wprowadzony młodego Mieczysława Szmitta. Syn historyka i członka Rady Szkolnej wstąpił na arenę piśmienniczą w ślady ojca, który także rozpoczynał swój zawód autorski od dramatów i poezji. Ach! komuż z nas w Arkadyi pierwszy dzień nie błysnął? Krytyka wszakże niemiłosiernie obeszła się tym razem, i z autorem, i z utworem. Biedna biała gołąbka wyszła z tej próby ze skrzydełkami podciętemi, cała poczerwiona inkaustem, niepozostawiającym na niej jednego białego piórka. A przecież przy tak surowem i niechętnem ocenieniu przyznać musiano autorowi dobrą tendencją, zacność myśli i celu, co bodaj czy nie lepiej zaleca sztukę i cechuje autora niżeli zręczność wysnuwania efektów, scenicznych i drażliwych sytuacji. *Biała gołąbka*

to idylla dramatyczna, wprowadzająca widza w świat dotąd nowy na scenie, pod strzechę nauczyciela wiejskiego i w grono jego rodziny, a już sam wybór przedmiotu przemawia na korzyść autora. Ostra — nad wszelki wyraz ostra i bezwzględna — recenzja *Białej gołąbki* dała powód do poruszenia nanowo pytania, nad którym nieraz już już rozprawiano: co lepiej, tak dla przyszłości początkowych autorów, jak i dla dobra samej literatury, czy surowem potępieniem stłumić odrazu zachcianki autorskie, tam, gdzie niema prawdziwego talentu; czy też pobłażliwem ocenieniem starać się, przeciwnie, rozwinać jego zarody, chociażby niewidoczne na pierwszy rzut oka przy początkowych próbach pisarskich? W ocenieniu niniejszego utworu p. Mieczysława Szmitta trzymało się pierwszego systematu, a przyszłość okaże: kto ostatecznie miał słuszość za sobą: czy recenzenci, czy talent pisarski autora?

Kiedy już mowa o teatrze, to dodam, że z końcem bieżącego miesiąca teatr nasz przenosi się z murów gmachu Skarbkowskiego na letnią rezydencję na ulicę Majerowską. Był tam cyrk Krembsera, bawiący gawiedź lwowską od trzech czy dwóch miesięcy sztukami konnemi i blażenstwami kredą obmazanych *clownów*. Otóż, gdy *clowny* i konie w dalszą cywilizacyjną puszczili się podróż ku Czerniowcom, p. Miłaszewski, korzystając ze sposobności, kupił na własność pozostały po nich budynek cyrkowy i urządził w nim teatr letni, stały, który służyć będzie, nietylko na lato obecne, ale na cały czas dzisiejszej dyrekcji. Przedstawienia rozpocząć się mają w dniu 1 Lipca. Pomysł dobry, zdolny przywabiać do teatru publiczność, w obecnej porze niechętnie uczęszczającą do gmachu skarbkowskiego. W nowym teatrze i wstęp będzie tańszy i znacznie mniejsze gorąco.

Przed kilku dniami Lwów cały został zelektryzowany wiadomością, że w piwnicach tak zwanej *spalonej akademii*, gdzie niegdyś był uniwersytet, a przedtem jeszcze klasztor OO. Trynitarzy, przy naprawie fundamentów znaleziono stokilkadziesiąt ludzkich czaszek, kości i całe skielety. W pierwszej chwili odkrycia nie wiedziano co o tem sądzić. Zbrodnia czy cmentarz? — zapytywano powszechnie; a tłum tak gromadnie tłoczył się do ciemnych i dusznych katakumb, iż później zabronić musiano wstępu, i tylko archeologowie, konserwatorowie rządowi starożytności i kommissya sądowa, delegowana celem zbadania rzeczy na miejscu, mieli przystęp do nowo odkrytego świata grobów. Poszukiwania uczonych niewiele odniosły pożytku; nie znaleziono bowiem nic, coby rzuciło jakiegokolwiek światło na czasy, z których groby te pochodziły. Sprawdzono tylko, że w podziemiach tych niegdyś składano zwłoki zakonników na wieczny spoczynek, naruszony obecnie kielnią murarską i ciekawością uczonych. Przy szczegółowem poszukiwaniu znalazła kommissya sądowa zachowane jeszcze strzępki szat zakonnych, trepki i rzemyki, opierające się zniszczeniu. Przekonawszy się, iż w wypadku danym niema bynajmniej śladów zbrodni, zebrano resztę zwłok i w czterech olbrzymich trumnach, nakształt ogromnych skrzyń, przewieziono je uroczyście, w asystencji duchowieństwa, na cmentarz Łyczakowski i tu pogrzebano.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Na grobie Maryi Anny Cross (Jerzy Eliot) został wzniesiony pomnik, kształtu obelisku, dwanaście stóp wysokiego. Jest on z jednej sztuki błękitnego granitu z Aberdeen i błyszczy na nim napis złotem:

Tej nieśmiertelnej zmarłej, co wiecznie zmar-
[twychwstaje;
Umysł, w którym odżywa, lepszym się przez
[nią staje.

Na piedestale dodano też złotemi literami: „Tu spoczywają zwłoki Jerzego Eliot, Maryi Anny Cross; urodzona d. 22 Października 1819 r., zmarła d. 22 Grudnia 1880 r.

Nazwisko „Lewis“ i tu wymienionem nie zostało. Anglia chce wytrącić z pamięci swej o wielkiej pisarce to wspomnienie, które rzuca cięń czarny na kobietę.

Zmarła niedawno w Paryżu ośmdziesięcio-dwuletnia staruszka, zostająca od 1813 r. w służbie rządowej przy paryskiej Bibliotece Narodowej na ulicy Richelieu. Pełniła ją zatem przez lat 68, nie opuściwszy ani jednego dnia pracy obowiązkowej, nie zażądawszy nigdy urlopu, więc nie mając nigdy wakacji, odpoczynku. Wstąpiła do służby czternastoletnią; zdaje się, że była wychowaną w zakładzie miłosiernym i nie знаła nigdy rodziców, a przynajmniej ojca. Nie posiadała też żadnego nazwiska, a że nigdy zamężną nie była, do śmierci używała jedynie chrześnego imienia Anny. M-lle Annette, jak wołano do śmierci na staruszkę, którą nikt nie nazwał nigdy córką, a ona nikogo dziecięciem swoim, weszła do służby jako dozorczyńi jednej z sal bibliotecznych, a z upływem lat została inspektorką w oddziale introligatorni. Mieszkała stale w małej izdebce gmachu bibliotecznego, samotna. W chwili śmierci pobierała 600 fr. pensyi.

— Co za los! co za żywot na ziemi! — mimowoli zawołać trzeba. Czy jest tu choć pyłek szczęścia, choć pyłek jakiegś radości? Może kiedyś w młodości, w maju życia miała o tem sen krótki: — marzenie przez rzeczywistość rozwiane. Może kochała, może jej się zdało, że jest kochaną; aż, wytrzęzwiona z rojeń, zasuszyła się między foliantami książek, jak biedny kwiat, włożony między dwie karty bibuły. Gdyby jej był przypadł los Robinsona na pustej wyspie, byłaby to dola lepsza: z tęsknotą serca łagodniejszą, z uczuciem żalu mniej gorzkim.

Dzienniki amerykańskie, pisząc o zbrodniczym zamachu na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych, Garfielda, wspominają w sposób wzruszający o jego sędziwej matce. Żona prostego farmera, została młodo wdową i z owoców ciężkiej pracy wychowywała dzieci, z których jedno dało jej starośći najwyższe szczęście, najwyższy tryumf, jakiego tylko doznać może serce szlachetnej matki: syn jej osiągnął najpierwszego stopnia dostojenstwa w kraju, i to jeszcze powołany tam został przez głos publiczny, jako szermierz cnoty i godności narodowej. Gdy ten syn złożył pod portykiem Kapitolu przysięgę na urząd prezydenta, zwrócił się do sędziwej matki, a ta wzruszona, objęła go ramionami i wobec całego tłumu ludu ucałowała. Ona też czekała go potem z chlebem i solą na progu pałacu prezydentów, zwanego „Białym Domem“, gdzie zamieszkała także, i ta, której pomieszczeniem była niegdyś chata z sosnowych okraglaków, która własną ręką uprawiała ogród, żywiący rodzinę, zajęła wspaniałe piękny apartament, tuż obok synowskiego, aby od tam zabierać zawsze pierwsze miejsce przy jego stole, i to nawet w dniu uroczyste przyjęć urzędowych. Synowa ustępuje jej bezspornie pierwszeństwa, a jest to również kobieta szlachetna i można powiedzieć, wyższa, tkliwie przywiązana do męża, z którym łączy ją miłość jedna i jedyna w życiu obojga. Także córka farmera z Marylandu, była współuczennicą przyszłego swego męża w Hiram-College; zaręczona z nim, została nauczycielką w rządowej szkole w Cleveland, on tymczasem kończył studia wyższe w Williams College. W r. 1858 pobrali się, gdy Garfield został wezwany na posadę dyrektora Hiram-Colleg, i małżeństwo było od tej chwili najszczęśliwsze pod względem wszelkim. Pisma amerykańskie podają bardzo wdzięczny obraz powierzchowności Mrs Garfield, wysokiej, delikatnej brunety z płcią białą i świeżą. Ma być bardzo pracowitą i domem zajęta gospodynią, będąc zarazem tak wykształconą naukowo, że obu swych synów przygotowała sama do kolegium. Nawet w językach starożytnych nie mieli oni innego nauczyciela prócz matki.

Mędzy Botiami, bogatym i licznym pokoleniem Hindusów w Indjach Wschodnich, panuje obecnie silne wzburzenie z powodu powtórnego małżeństwa jednej z kobiet tego pokolenia, należącej do

wyższych klas społeczeństwa. Jest to pierwsza Indyanka, która odważyła się iść za mąż raz drugi; ma ona obecnie lat 27 i jest wdową od dziesiątego roku życia. Aby małżeństwo zawarte być mogło, para narzeczonych uciekla do Bombaju, gdzie ślub został im dany przy pomocy kilku wpływowych osób. Ale całe pokolenie Botiów pragnie ukarania przestępców ojczystego prawa; jeden, jedyny krajowiec, który był przytomny aktowi, został przez Braminów wyklętym, a krewni nowozaślubionej wytoczyli jej proces, oskarżając ją o kradzież kosztownych klejnotów i żądając wydania władzom krajowym, tak jej, jak i współnika jej czynu. Rząd angielski odmówił, ale lękać się trzeba, aby skryta zemsta fanatyków nie dosięgnęła prześladowanej pary; namawiają też nowożeńców do wydalenia się z Indyi i wyjazdu do Anglii. Jest to przedmiot dla jakiego Wilkie Collins'a do sensacyjnego romansu.

Zofia Schliemann, nietowarzyszając mężowi do Berlina, gdzie zajęty jest obecnie porządkowaniem wykopalisk, które uważa za trojańskie, pozostawiała w Grecyi i prowadzi dalej pracę rozkopania Orchomenosu, starożytnego miasta Beocyi, położonego na północo-zachód od błot Kopais. Nie dokopano się tam tak wspaniałych bogactw, jak w Ilios, ale niemniej odkryto ciekawe pomniki bardzo odległej przeszłości: skarbiec króla Minyasa, uchodzący w starożytnych czasach Grecyi za arcydzieło sztuki budowniczej. Zachodzi tu w budowie gmachu wielkie podobieństwo do odkopanego poprzednio w Mycenach skarbcu Atrydów, o którego autentyczności wątpliwość przecież uczeni archeologowie, uważając, że są to zabytki epoki innej, niż Schliemann przypuszcza. Może być zatem, że i wykopaliska w Orchomenos pochodzą także z czasów innych. Zofia Schliemann podaje w dziennikach greckich opis wykopalisk i obiecuje przysłać do Aten płyty ornamentacyjne, które zdobyły gmach odkopany.

Bułgarskie kobiety przebudziły się już do życia uczuć i myśli wyższych. Podają one do rządu adres, opatrzony 325 podpisami, w którym wyrażają, że każda Bułgarka usiłuje tak chować się na, aby w każdej chwili być gotów umrzeć za ojczyznę, ale niemniej matka Bułgarska uważałaby syna za wyrodką i odepchnęłaby go od serca jako zdrajcę, gdyby targnął się na prawa swego kraju i pozwolił na usunięcie konstytucji.

W Londynie miała odczyt amerykańska literatka, Mrs Marya Livermore *O obowiązkach kobiety względnie do życia narodu*. Prelegentka żądała od kobiety, aby znała i pojmowała położenie swego kraju i wraz ze szlachetnymi mężczyznami współdziałała dla jego dobra. Za przykład stawiała ona M-rs Beecher Stowe, autorkę *Chaty wuja Toma*, która pismami swemi przyłożyła się potężnie do zniesienia niewolnictwa czarnych i zdjęła w ten sposób ze swego kraju hańbiącą ludzkość plamę. Dalej wspomniała żonę poprzedniego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Hayes'a, czynną i gorliwą naczelniczkę kobiecego stowarzyszenia przeciw pijaństwu, tak zasłużoną w tym kierunku, że za wstąpieniem na prezydenturę Garfielda kobiety amerykańskie wystąpiły do niego z prośbą, aby portret M-rs Hayes został zawieszony w Białym Domu na wieczną pamiątkę jej szlachetnej działalności. Dalej Marya Livermore mówiła o poświęceniu kobiet w czasie ostatniej wojny amerykańskiej, o ich czynnej służbie w ambulansach i wszędzie, gdzie tylko kobieta działać mogła. Gdyby ta rozumna Amerykanka była się znalazła w Warszawie w czasie Wystawy zwierząt gospodarczych i doliczyła się z całego kraju tylko czterech wystawczyń, a przytem ujrzała nadprogramową wystawę toalet i zbytków na wyszcigach, byłaby się niewątpliwie zapytała: azali

Polki wiedzą, że kobieta ma jakieś obowiązki dla kraju i powinna mieć udział pewny w rozwoju życia narodowego? Jest też podobnie nierozsądna Węgierka jedna, która powiedziała z katedry publicznej kobietom swego narodu: — Niema Węgierki bogatej, bo Węgry są ubogie....

W Kroacji kobiety zostały przypuszczone do wyborów municypalnych i piszą z Zagrzebia, że listy wyborcze tego miasta, ułożone według nowego prawa, wykazują 3200 wyborców, między którymi jest 805 kobiet.

W Westfalii dzień 1 Października bieżącego roku zamyka termin, w czasie którego żony handlujących a bankructwu uległych mężów mogły wnieść żądanie wyłączenia ich osobistego majątku z masy upadłości mążowskiej. Przysługuje to jedynie kobietom legalnie zaślubionym po dzień 1 Stycznia 1879, które dowiodły i przed 1 Października b. r. urzędownie zastrzegły, gdzie należało, prawa swoje do wniesionego mężowi posagu. Zastrzeżenie tych praw żony może się obejść w razie oporu bez współudziału męża. W małżeństwach zawartych od 1879 r., żona, w razie bankructwa męża, nie może rościć żadnych pretensyj do wniesionego przez się majątku, chyba jeżeli została jej zabezpieczonym hipotecznie na nieruchomości mążowskiej, wtedy też przedstawia się on w postaci prostego długu. Inaczej wobec bankructwa męża nie istnieje żadna majątkowa oddzielnosc żony.

Liczba kobiet zajętych przez koleje żelazne w Cesarstwie Austriackiem wynosiła w obecnym roku 3042 osób. Z tych 6 przy likwidowaniu efektów kolejowych, pobierało pensji od 30 do 60 złotych reńskich miesięcznie; dwie, zajęte wyrobem biletów jazdy kolejowej, od 40 do 43 złr.; dwie przy kontroli biletów od 20 do 40 złr., sześćdziesiąt pięć zajętych w biurach rachunkowości pobierało dyetyienne 1, lub 1½ złr.; dwadzieścia zatrudnionych w kassach miało rocznie od 120 do 850 złr. Telegrafistki pobierały od 40 centów do 1½ złr. dziennie. Dróżniczek kolejowych było 2939, i te pobierały od 2 do 16 złr. na miesiąc. Dróżniczka ma prócz tego oddany sobie domek z ogródkiem.

Trybuna dziennikarska w sali parlamentu włoskiego mieści w sobie obecnie między reporterami prasy kobietę: signorę Mario, żonę radykalnego publicysty i niegdyś redaktora dziennika „Italia libera“. Miejsce to zajmuje ona przecież

na własny rachunek, jako korespondentka angielskich i amerykańskich dzienników. Z urodzenia Angielka, rodzinne jej nazwisko jest Jessie White i zawsze też używa, na wzór wszystkich kobiet należących do stronnictwa emancypacyjnego, obu nazwisk.

Tegoroczna wystawa sztuk pięknych w Paryżu mieściła 612 prac kobiecych, z tych 193 olejnych, 365 miniatur akwarel, a 49 rzeźb. Sąd wystawowy wyszczególnił z pomiędzy nich tylko ośm. Król Belgijski obdarzył orderem Leopolda jedną z artystek, Henrotin, która pod przybranem nazwiskiem Maryi Collart wystawiła bardzo piękny krajobraz. Sara Bernhardt mimo swej wdrowki po Ameryce zrobiła wielkie postępy w rzeźbie, którą odznaczone. O jej popiersiu Coquelin'a piszą, że najbardziej utalentowany rzeźbiarz nie wstydziłby się położyć pod niem swego podpisu. Równie pięknym jest medalion wykonany w marmurze, a przedstawiający Ofelię. Sara Bernhardt jest w każdym razie niepospolitą osobistością łączącą talent tragiczki z talentem malarki i rzeźbiarki. Pragnęła być i literatką, ale w tym kierunku okazała najmniej zdolności.

Naszych wystawczyń spotykamy dziewięć. W dziale miniatur, akwareli i malowania: p. p. Konstancja Buland Warszawianka, Duchenska, Grabowska, Zaborowska i Zaliwska. W dziale rzeźb p. Bloch odznaczyła się bardzo pięknym posągiem „Nadziei“, oraz popiersiem młodej panny; zwracało również uwagę popiersie kobiece p. L. Dombrowskiej, oraz portret kobiecy w płaskorzeźbie p. Matyldy, uczennicy Godebskiego; ładny był Walenty z Dombrowskich Legendre model z wosku, przedstawiający małego pieska, bawiącego się pantoflem.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Wyszła z druku książka p. t.:

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Dzieło premiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcyę „Bluszczu“

Tom w formacie duże 8-vo

Cena egzemplarza Rs. 2 k. 25. w oprawie Rs. 2 k. 75.

Znajduje się do nabycia u Michała Glücksberga, wydawcy w Warszawie, oraz we wszystkich księgarniach, tak w Warszawie, jak i na prowincyi

Dzieło to osobom, które je zaprenumerowały, obecnie się rozsyła.

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Swiat Nr 67.

TREŚĆ. Stowarzyszenie opieki nad sługami. — Przekłady z antologii greckiej (Anakreon, Teognis), (poezya), przez Alf. — Życie pod zwrotnikiem, (dalszy ciąg), przez Sygurdę Wisniowskiego. — Sama jedna, powieść, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Preludium Szopena, Obrazek dramatyczny, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz. — **Korespondencja zagraniczna**, (Lwów). — **Kronika działalności kobiecej**.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Юля 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Mały dziedzic zasypiał tymczasem w kajucie na dole, a bona czuwała nad nim troskliwie. Lekki statek szybował po falach, słońce świeciło, wielkie balwany zdawały się usnąć; aż nakoniec ciemna zasłona nocy zakryła okręt i morze — zasłona która zawsze niesie w sobie ciszę i tajemnicę.

Mało jest w Anglii miejsc tak malowniczych, jak Clydesdale. Natura i sztuka, łączyły się, aby stary zamek: Clydesdale Towers, otoczony był najpiękniejszymi widokami. Zielone pagórki obrosnięte drzewami, rzeka płynąca to przez bujne błonia i łąki, to przez ciche, cieniiste lasy, urozmaicały krajobraz; po za zamkiem rozciągał się ogromny park z prawdziwie leśną roślinnością, wśród której pasły się jelenie i sarny. Sam zaś zamek, stary bardzo i nieregularnej budowy, miał wieże i wieżyczki obrosłe gęstym bluszczem i wysokie okna, otoczone kamiennymi girlandami. Komnaty duże, jasne, pełne były pomników przeszłości. Zbiory sztuki mieściły w sobie arcydzieła, a każdy sprzęt był drogi i cenny już przez to samo, że służył nie jednemu pokoleniu. Rodzina była odwiecznie bogatą, więc gromadziły się skarby, które umiano szanować i bronić przed zębem czasu.

Pokój, przeznaczony do śniadania, miał duże drzwi szklane, wychodzące na ogród kwiatowy. Świeże kwiaty, co rano odnawiane, ustawione były wszędzie, bo pani domu namiętnie je lubiła. Sierpniowy poranek przedstawiał pod tym względem obraz wykintu i zbytku; wszędzie kwiaty pieściły oko, przez otwarte drzwi wpływało woniące powietrze. Stół nakryty lśniącą białą obrusą, zastawiony był chińską porcelaną, srebrem i kwiatami znowu.

We drzwiach, zapatrzona na stare lipy, stała Eleonora. Wysoka, szczupła, zręczna, miała na twarzy niewinność dziecka, a spokojny, bezwiedny wdzięk królowej w postawie i ruchach. Nie dziw, że Rupert Clyde stracił dla niej serce, nie dziw że człowiek, który raz ją pokochał, nie dbał już o inne kobiety. Połysk jej złotych włosów, blask niebieskich oczu, róża i lilje jej policzków, karmin jej pięknych ust, tworzyły obraz, który nie łatwo mógł być przewyższony. Miała na sobie białą suknię, a włosy niebieską wstążką związane.

Piękne, poważne oczy patrzyły zadumane, a cień smutku tkwił w jej uśmiechu. Szlachetne, czułe natury nie są nigdy zupełnie szczęśliwe: nad życiem Eleonory Clyde zawisł cień także.

Spiesznie się odwróciła, gdy mąż wszedł do pokoju.

— Adryanie jakeśmy się spóźnili — zawołała. — Sama się tego wstydzę. Jeszcze nie zaczęliśmy śniadania, a patrz która godzina!

— A czy wiesz Noro, — tak ją pieszczotliwie nazywał — że musimy się spieszyć, bo wyjeżdżam dziś z domu.

Nalała mu herbatę i rozmawiała o wszystkim co go obchodzić mogło. P. Adryanowa Clyde

była wzorowo dobrą żoną, wszystkie sprawy męża mocno ją zajmowały.

Skończywszy śniadanie spojrzał niecierpliwie ku drzwiom.

— Chciałbym już mieć worek pocztowy — rzekł. — Nie lubię wyjeżdżać z domu, nie przeczytawszy listów.

Kiedy to mówił, właśnie służący wszedł i przyniósł pożądany przedmiot, Adryan siedział w oknie przeglądając listy, Eleonora stała przy nim.

— Czy mogę ci pomóc, Adryanie, — rzekła.

— Nie, kochanko. Zaraz przejrzę wszystko — odparł.

Adryan Clyde był tak podobnym do Ruperta, że ich zawsze brano za braci. Przerzucając listy zbladł nagle, jeden z nich był pod adresem pani Adryanowej Clyde w Clydesdale Towers, Wollshire.

— Eleonoro, — rzekł. — Tu jest list do ciebie z Ameryki, zaadresowany obcym charakterem. Boję się, czy w nim niema złej wieści o Rupercie.

Rumieniec znikł jej nagle z twarzy, w milczeniu wzięła list z ręki męża, ale drżała, otwierając go.

— Jest od samego Ruperta, — rzekła spokojnie, ale było coś uroczystego w jej głosie, gdy wymawiała to imię.

Ledwo zaczęła czytać, słaby okrzyk wyrwał się z jej ust. Błada, spojrzała z rozpaczą na męża.

— Nie żyje! Adryanie — załkała. — Rupert nie żyje!

Adryan zerwał się z krzesła i zbliżył się do niej.

— Nie żyje, Noro? Ach to może omyłka, fałszywa wieść... Rupert nie żyje? Pokaż mi list.

Wziął go z jej ręki i zaczął czytać.

Z koperty wypadł promień złotych włosów i suche, zmięte listki białej lilji. Eleonora podniosła je z uszanowaniem. Z niewymownym smutkiem i głębokim uczuciem Adryan spojrzał na nią.

— Jak on cię kochał, Noro! — rzekł. — Jak wielka była jego miłość! — Potem czytał dalej.

Las Camargo — „Umarł o zachodzie słońca“.

— O Noro! nie mogę się pogodzić z tą myślą okrutną, że Rupert nie żyje... Nie płacz najdroższa! Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Nie mogłaś sobie nakazać uczucia i wybrałaś mnie, bo mnie dostało się serce twoje. Nie uczyniłaś mu nic złego. Pamiętaj, że miał on żonę i dziecko. Gdybym ja był został odepchnięty, nie byłbym się nigdy ożenił!

Ale ona zwykle tak spokojna i mężna, teraz była złamana i ciężko płakała. Adryan był w rozpacz.

— Bóg widzi, — rzekł — że byłbym dał życie, aby go ocalić. Nie płacz tak gorzko, Eleonoro, to mi serce rozdziera!

Tego wieczora, o zachodzie słońca, blada kobieta kłęzała na trawniku ogrodowym z twarzą ku zachodowi obróconą.

— Bądź zdrow! — łkała, a jej łzy obficie płynęły. — Nigdy nie wiedziałam, jak bardzo cię kocham, aż dopiero, wtedy, gdy miłość musiała stać się nieszczęściem. Bądź zdrow! kiedyś zobaczymy się w przyszłości!

ROZDZIAŁ VII.

Adryan Clyde ciężko odczuwał stratę krewnego i przyjaciela. Nic bolesniejszego nie mogło go spotkać, chyba śmierć Eleonory. Oboje kochał wielką miłością. Przez kilka dni nie mógł się odważyć mówić o Rupercie a przez ten czas słodka twarz Eleonory zbladła i zeszczipiała. Zamknęła się w swoim pokoju, nie chcąc widzieć niko-

go prócz męża, lecz i Adryan szanował jej boleść milejącą. Przecież po tygodniu musieli się rozmówić w przedmiocie bardzo ważnym, choć bardzo smutnym: w przedmiocie nowych stosunków majątkowych, które wytwarzała śmierć Ruperta. Clydesdale, które zamieszkiwali, już miało innego dziedzica, i o tem Adryan chciał się rozmówić z żoną. Ona, blada i piękna w czarnej krepie, podniosła oczy, gdy się zbliżył.

— Najdroższa, — rzekł — jak jesteś blada i zmieniona... Może trochę pochodzimy po ogrodzie, póki nie uczujesz się zmęczoną.

Kwiatów było pełno w tej porze, wszystkie w pełnym rozkwicie. W Clydesdale Towers, jak niegdyś na plebanii mnóstwo było lilijowców. Adryan, chodząc z żoną, zatrzymywał się niekiedy, aby dla niej zerwać kwiatek. Czy prosty przypadek zrzucił tylko, że jej podał przesłiczny lilijowiec?

— Czy wiesz Noro, co ten kwiat znaczy, w języku roślin? — zapytał. — Oznacza nieśmiertelność, ale podług mnie, jego woń, której się nigdy nie zapomina, powinna dać mu inne znaczenie, znaczenie wiernej miłości aż do grobu. Gdyby nasz ukochany Rupert tu był umarł, posadzilibyśmy lilijawce na jego grobie. O Noro, płaczesz znowu? Przepraszam cię, o! przepraszam, że słowa moje pobudziły cię do łez.

Ale ona musiała płakać w tej chwili, ona, która widziała niegdyś szlachetnego, młodziana leżącego pośród lilijowców z sercem rozdartem przez to, że go musiała odrzucić? Dla niej sam widok tych kwiatów był niewymowną boleścią!

— Chciałem pomówić z tobą, Noro, — mówił dalej Adryan. Śmierć Ruperta zmieniła nasze położenie. Nie możemy dłużej mieszkać w Clydesdale.

— Rozumiem to dobrze, — odrzekła.

— Gdyby Rupert nie był zostawił syna, ja byłbym teraz sir Adryanem, a ty Lady Clyde.

— Nie pragnę być Lady Clyde, — odparła Eleonora ze drżeniem.

— Ani ja sir Adryanem. Bóg to widzi, że nie zazdrościłem nigdy Rupertowi. Czy też syn jego ma rysy Clydeów? Dali mu imię, którego nie bywało w naszej rodzinie. Biedny malec! Musimy Noro, bardzo go kochać przez pamięć na Ruperta.

— O! będziemy go kochać! — rzekła Nora z czułością.

— Ciekawym, jaki to rodzaj kobiety ta żona Ruperta? — mówił dalej Adryan. — Gdy kreślę w myśli idealny jej obraz, wystawiam sobie, że jest podobną do ciebie Noro, tak jak ty piękna i miła. Dziwi mnie to, że się ożenił tak prędko, kochając kiedyś ciebie.

— Nie widzę w tem nic dziwnego; czyż można płakać całe życie po pierwszej zawiedzonej miłości.

— Trudno się o to spierać, to rzecz indywidualna — odrzekł Adryan. — Ale cóż postanowimy na przyszłość, kochanko? Musimy opuścić Clydesdale, gdzie chcesz zamieszkać?

— W Greenowes, — odpowiedziała. — Pragnęłabym mieć syna Ruperta blisko siebie. Ale Adryanie, czy nie lepiej pozostać tu jeszcze, aby przyjąć biedną młodą wdowę i dziecię sierotkę.

— Zapewne, byłby to dowód życzliwości rodzinnej, lecz ona może to uważać za mieszanie się w jej sprawę.

— Chyba tego o nas pomyśleć nie może! — zawołała Eleonora. — Zobaczysz, że nie wtrącając się w nie usuniemy się zaraz za jej przybyciem. Ale należy nam dać jej się poznać, aby wiedziała, że jesteśmy jej szczerymi, prawdziwymi przyjaciółmi. Pozwól do niej napisać, że zostajemy w Towers, aby ją przyjąć i że oczekujemy jej z otwartym sercem i ramionami.

— Chętnie się zgadzam na to, — rzekł Adryan. — Urządę przez ten czas Greenowes, ztamtąd mógł-

bym równie dobrze zarządzać dobrami Clydesdale, jak dotąd. Młoda wdowa, nie wychowana w Anglii, nie ma pojęcia, jak się wziąć do rzeczy, a ludzie mogliby z tego korzystać.

— Szkoda że Rupert nie zostawił syna pod twoją opieką; byłbyś dla niego doskonałym mentorem.

— Najdroższa — odparł Adryan. — Naturalną opiekunką dziecka jest matka, chyba że jest powód, czyniący ją niezdolną do tego. Ale są rzeczy, których kierunek zapewne matka mi powie. Napoczątek będę go sam uczył jeździć konno, pływać, strzelać; uczynię, to aby zyskać wpływ na dziecko. Czynił bym to samo z synem moim.

Żona objęła go z czułością za szyję. Wielkiem zmartwieniem w jej życiu był brak potomstwa. Gorąco pragnęła mieć dzieci. Adryan je lubił i byłby je umiał na zacnych ludzi wychować.

Adryan zrozumiał jej myśl i przygarnął ją do siebie z czułością.

— Droga moja Noro, — rzekł; — Bóg wie, co robi. Widzę co się dzieje w twojej duszy; ale najdroższa, dla mnie ty jesteś całym światem.

W oku Eleonory łza się zakłęciła. Taki był szlachetny i niesamolubny! W tej chwili pragnęła widzieć go panem Clydesdale, bo dla niej nie było w całym kraju szlachetniejszego człowieka.

— Nie mając dzieci, będziemy kochać syna Ruperta, jak gdyby był naszym. Bardzo mnie to zajmuje, czy podobny do ojca? Nie myśl że jestem próżny ale zdaję mi się że mężczyźni w rodzie Clydów są urodzonymi ludźmi. Rupert był klasycznie pięknym; chłopiec może do niego podobny.

— Jeśli tak jest, to jeszcze go bardziej kochać będziemy, — odrzekła Eleonora. — Obawiam się tylko, abyśmy go nie popsuli zbytmi pieszczotami.

— Jeżeli jest podobnym do ojca, to nie go nie zepsuje, — rzekł Adryan ze smętnem westchnieniem.

ROZDZIAŁ VIII.

Był piękny dzień kwietniowy. Powietrze ciepłe i wonne zwiastowało wczesną wiosnę; Eleonora od rana była w ogrodzie. Przechadzali się z Adryanem po ulicach, obsadzonych różnobarwnymi hiacintami; Adryan deklamował piękny wiersz o wiosnie.

— Jak ty mi przypominasz Ruperta! — rzekła Eleonora. — Zawsze cytował ulubione poezje, masz nawet jego głos w deklamacji.

— Chciałbym mieć choć w połowie głos równie dźwięczny — odparł Adryan. — Ale muszę ci się przyznać Noro, że mam dziś smutny; gdybym wierzył w sny, przypuszczał bym, że się coś stało synkowi Ruperta. Całą noc widziałem złotą główkę na poduszeczce i burzę szalejącą.

— Myślałeś dużo o dziecku, Adryanie, — rzekła spokojnie Eleonora, i to ci taki sen sprawiło.

— Tak, dużo o nim myślałem w ostatnich czasach. Sądzę że wkrótce usłyszymy o Lady Clyde.

— Co dzień spodziewam się listu, zapowiadającego jej przybycie, — odrzekła Eleonora.

— Słyszałem wczoraj, że *Płak morski* szczęśliwie przybił do brzegu, ale podróże mogą się w mieście parę dni zatrzymać.

— Nie sądź Adryanie, biedna wdowa będzie się spieszyć do rodzinnego domu utraconego męża. Ale co to jest?

Oboje spojrzeli na drogę, po której zbliżał się powóz, wcale nie eleganckiej powierzchowności, kierowany przez nędznie ubranego woźnicę. Adryan uśmiechnął się na ten widok.

— To jest powóz ze stacyi Rodney, — rzekł. Znam tego woźnicę. Przywozi nam gości, Noro.

— Któż to być może? Nie znam nikogo coby brał powóz ze stacyi.

— Jednakże ktoś do nas przybywa, — rzekł, skoro się powóz zatrzymał.

Wysiadła z niego wysoka, szczupła postać, w grubej żałobie. Adryan i Nora spojrzeli na siebie.

— Któż to jest Noro? — zawołał Adryan.

— Zaraz się dowiemy, — odrzekła. — Jest kilka pudełek i duży kufer; to ktoś, co myśli tu zostać. Przecież to nie Lady Clyde.

— Lady Clyde w powozie kolejowym i sama! Zobaczymy Noro.

Pospieszli do domu ale nieznajoma już weszła.

— Czy to wizyta Johnie? — spytał Adryan lokaja, którego spotkał w sieni.

— Tak, panie. Ta pani nie powiedziała swego nazwiska, ale pragnie się widzieć z państwem. Jest w białym salonie.

Weszli oboje do wskazanego pokoju, a łagodna twarz Eleonory bardzo zbladła, wchodząc do salonu. Dama wysoka i szczupła, w grubej żałobie, stała na środku. Miała krepowy kapelusz, na wdowim czepku i powłóczytą czarną krepową suknię. Nie była ładna, bo wyraz przerażenia szpecił w tej chwili jej bladą twarz. Nie podeszła ku wchodzącej Eleonorze, ale zdawała się raczej cofać. Naraz się opamiętała i zaczerwieniwszy się, wyciągnęła ku niej drżącą rękę.

— Nie znacie mnie, — rzekła. Jestem Lady Clyde.

— Lady Clyde! — wykrzyknął Adryan i razem z nim Eleonora.

Zupełnie inaczej wystawiali sobie żonę Ruperta, wyidealizowali ją sobie w rozmowach, toczonych o niej i teraz nie mogli pojąć, że ta dziwna istota o bladej twarzy i wylękłych rysach, z dzikimi oczami i drżącymi ustami miała być żoną Ruperta? Nie widzieli w niej ani piękności, ani wdzięku.

— Jestem Lady Clyde, — powtórzyła wyciągając obie ręce!...

— Witamy cię w Clydesdale, — rzekła Eleonora biorąc ją za ręce. — Jesteśmy najbliższą rodziną twego męża. Byli sobie niemal braćmi z Adryanem.

— Bardzo przypominasz mi pan Ruperta, — szepnęła nowoprzybyła, zwracając się do Adryana. Masz takie same włosy i oczy, jego głos i uśmiech.

Mówiąc to zakryła oczy rękami; Eleonora patrzyła na nią bacznie i smutnie, Adryan sądził, że wielka boleść czyni ją tak jakoś zmieszaną.

— Smutne dla mnie przybycie do domu — mówiła dalej Floryna łkając. — Inaczej je sobie wystawiałam niegdyś. Pomimo wielu nalegań, Rupert nie chciał tu ze mną wrócić i wybrał się w brew mej woli do tego szkaradnego kraju, którego klimat go zabił.

Dobre serce Adryana litowało się nad płaczącą. Wziął jej małą rękę i rzekł wzruszony.

— Wszystko zrobimy, co tylko jest w naszej mocy aby twoje życie pani uprzyjemnić i rozweselić. Nie uważaj nas za obcych, ale wystaw sobie, że przybyłaś do siostry i brata.

— Jesteś pan bardzo dobry, — rzekła spazmatycznie łkając, ale ja tak wyobrażałam sobie w myślach długo snuty inne, oh! inne przybycie tutaj, że nie mogę się przyzwyczaić do zmiany, która nastąpiła.

— Pojmuję, że to straszna boleść dla pani przybywać bez Ruperta, — rzekła Eleonora, zmieszana wybuchami spazmatycznych łkań. Nerwowość młodej wdowy przerażała ją.

— Nigdy nie myślałam, że się tak stanie, — powtórzyła Floryna płacząc. — Tak życzyłam sobie przybyć na wiosnę, aby ludzie zawsze mnie łączyli z myślą o słońcu i kwiatach!

— Przybyłaś też pani na wiosnę, — ozwał się Adryan poważnie — w dniu najjaśniejszego słońca, przy rozkwicie najpiękniejszych kwiatów. Spełniło się więc to życzenie.

Ale ona tem gwałtowniej płakała, nie mogąc się uspokoić. Adryan zaczął tracić cierpliwość; kobieta, płacząca tak gwałtownie, była dla niego nowością.

— Nie dziwię się boleści pani, — rzekł, — ale staraj się uspokoić. Jestem pewny, że gdy czas

zabliźni rany, będziesz tu pani mogła jeszcze być szczęśliwą.

Podniosła ręce, jakby pragnąc się zasłonić od strasznego obrazu.

— Ach! sir. Przestraszasz mnie swym głosem, — zawołała. — Taki podobny do głosu Ruperta i twarz ta sama...

— Jesteś pani nazbyt wzruszona, — rzekła Eleonora, — musisz być chora, i ztąd nadmiernie nerwowa, inaczej podobieństwo z Rupertem nie raziłoby pani, a przeciwnie...

— Tak, jestem chora z podróży morskiej, ze smutku, że przybywam tu bez Ruperta, sama do obcych! Bądźcie dla mnie wyrozumiałymi.

Adryan i Eleonora spojrzeli na siebie z trwogą. Nie mogli zrozumieć tego strachu i spazmatycznego płaczu.

— Lady Clyde, staraj się pani uspokoić, — rzekła Eleonora — pamiętaj, że jesteś już obecnie w domu, i pośród tych, którzy cię kochają — kochają cię, boś jest żoną Ruperta i matką jego syna.

Ale płacz Lady Clyde wzmagął się jeszcze gwałtowniej. Eleonora umieściła ją w fotelu, Adryan przyniósł jakieś lekarstwo na uspokojenie nerwów. Po chwili zdawała się przychodzić do siebie, kiedy Eleonora rzekła do niej.

— Jak to się stało, że pani przybyłaś tu sama? Gdzie jest siostra pani i dziecko? W pierwszej chwili, widząc boleść pani, zapomniałam o nich.

Z bladych ust Lady Clyde, nie wyszła żadna odpowiedź. Jęknęła tylko boleśnie, miała bladą, wylęknioną twarz i rozpaczliwe ruchy.

— Gdzie jest siostra i synek pani? — powtórzyła Eleonora; gdzie jest Alfredek?

Lady Clyde z wysileniem zapanowała nad sobą.

— Mój Alfredek — zawołała namiętnie. — Mój śliczny synek!

— Gdzież on jest? — spytała ponownie Eleonora, — przecie go pani w Indyach nie zostawiłaś?

— W Indyach? O nie; jakże bym mogła zostawić go, oh! nie...

— Więc gdzież jest obecnie? — zapytał już teraz Adryan, a Eleonora z niepokojem patrzyła w lady Clyde.

— Zostałam go w Londynie z moją siostrą, — odrzekła. — Nie był zdrow i Lady Leestone sądziła, że będzie lepiej, jeżeli parę dni wypocznie; cierpiał bardzo podczas morskiej podróży.

— Szkoda, — rzekła Eleonora. — Dawny dziecienny pokój, gdzie Rupert i Adryan razem się chowali, jest dla niego przygotowany. Żałuję żeś go pani nie przywiozła.

— I ja także, — dorzucił Adryan. — Zdaje mi się że powietrze Londyńskie nie jest dobre dla chorego dziecka.

— Siostra moja stanęła u przyjaciół w Kensington, — rzekła żywo Lady Clyde. — Wszyscy mówią, że to bardzo zdrowa miejscowość.

— Zawsze tu powietrze zdrowsze, — odparła Eleonora.

Czy Lady Leestone wie jak pielęgnować dzieci?

— Nie ma wcale swoich, — odrzekła Lady Clyde, — ale umie się z nimi obchodzić. Mamy przytem doświadczoną i rozumną bonę.

— Co za szkoda, że go tu nie ma, — rzekła smutnie Eleonora, — tak się cieszyłam na poznanie syna Ruperta! kochaliśmy sir Ruperta, jak rodzzonego brata.

— Tak, wszyscy kochali Ruperta, — odparła Lady Clyde. Byłabym wolała mieć Alfredka ze sobą, — dodała, — mówiłam siostrze, że to będzie dziwnie wyglądać, gdy przebędę sama, ale nie chciała mnie słuchać. Czy się to panu dziwnem nie wydaje?

— Nie widzę w tem nic dziwnego, — odparł Adryan, — jest to tylko zawód dla nas. Ale panie musicie lepiej wiedzieć, jak należało postąpić. Kiedy pani spodziewa się malca?

Twarz Floryny ściągnęła się, jakgdyby pod kurczem nagłej boleści.

— Nie mogę powiedzieć na pewno. Ale będę mieć od siostry codzienne wiadomości, skoro będzie już zdrow zupełnie, przywiezie go.

— W jakim jest wieku? — zapytał Adryan.

— Ma trzy lata.

— A więc zaczyna mówić? — zawołała Eleonora. — Lubię bardzo dzieci w tym wieku. Czy płakała za panią?

— Nie, — odrzekła Lady Clyde. — Spał, kiedy odjeżdżała. Siostra trzymała go na ręku. Bądź zdrow synku, — rzekła — bądź zdrow Alfredku mój... ale mnie nie słyszał.

I znów zaniosła się od płaczu; a Adryan rzekł cicho do żony.

— Lepiej zaprowadź ją do jej pokoju, Noro; potrzebuje ciszy i spoczynku.

Łagodnymi słowy, Eleonora nakłoniła nieszczęśliwą kobietę, aby poszła spocząć. Widok wspaniałego apartamentu przeznaczonego dla niej, podzielał uspokajająco.

— Mam nadzieję, że się pani jej pomieszkaniem podobać będzie — rzekła Eleonora.

— Czy to są najpiękniejsze pokoje? — spytała Lady Clyde.

— Czy najpiękniejsze? — powtórzyła zadziwiona Eleonora.

— Naturalnie; jest to pani apartament, zajmowany z pokolenia w pokolenie przez panie na Clydesdale.

— Ileż jest pokoi? — zapytała Floryna tonem osoby przyzwyczajonej do pałaców.

— Jest buduar, urządzone bardzo gustownie, — odparła Eleonora; — biblioteka zaopatrzona w nowe książki; łazienka bardzo wytworna, salonik i sypialny pokój, a przy nim sypialnia dla służącej.

— Nie przywiozłam służącej, — rzekła nagle Floryna.

— Jakże się to stało? — spytała Eleonora.

— Nie była już bardzo młoda, ale wierna i przywiązana. Była to francuzka, Dezyderia; ale nie chciała już jechać ze mną. Powiedziała, że chce odpocząć. Będę miała inną, prosto z Paryża, a teraz pani zaradzisz temu, brakowi, czyż nie prawda?

— Najchętniej. Gdybym była uprzedzoną, byłabym wyjechała naprzeciw ciębie, droga Floryno do Londynu. Nie byłabyś podróżowała sama w takim stanie zdenerwowania i bólesci.

— Lepiej, żeś nie przyjechała, — rzekła Lady Clyde wzdrygając się — podróż ta jest ciężka, o! ciężka. Ach! jakże zimno, cała drzę, patrz jak mi się ręce trzęsą. Ty pani jesteś dobra dla mnie, — mówiła dalej z namiętną gwałtownością. — Bardzo jesteś dobra, ale marzyłam o innym przyjęciu. Czytałam, że kiedy lord lub lady przybywają objąć majątek, często ludność ich dóbr wyprzega konie i ciągnie powóz.

— Jest to bardzo nieludzki zwyczaj, podług mnie, — rzekła Eleonora, ale Lady Clyde nie zdawała się słyszeć i mówiła dalej.

— Czytałam o bramach tryumfalnych z zieloności i kwiatów, o wieńcach rzucanych pod nogi koniom. Wyobrażałam sobie, że i ja tak będę przyjęta.

— Ale droga Lady Clyde, choćbyśmy nawet byli wiedzieli o dniu twego przybycia, jakże moglibyśmy urządzać taką publiczną uroczystość? Zapominasz, że wszyscy kochaliśmy sir Ruperta, że nieobecność jego zasmucałaby wszystkich. Zapominasz, że jesteś w żałobie po mężu — po ukochanym, pięknym, dobrym...

— Nie potrzebuję, aby ktokolwiek mówił mi o jego zacności, — zawołała Floryna, — nikt nie mógł go znać lepiej odemnie. Nie mówię, aby to wszystko dla mnie robiono, ale to były moje marzenia. Jestem zawiedziona i zniechęcona; nie mam szczęścia do niczego w świecie.

Eleonora się uśmiechnęła.

— Nie wiem co nazywasz pani szczęściem, — rzekła patrząc z niewymowną litością na bladą twarzyczkę. — Mąż twój był jednym z najsłlachetniejszych ludzi, masz kochanego synka. Pomysł o samotnych kobietach z kochającym sercem, które nie mają nikogo na świecie. Jesteś przytem niezależną panią ogromnego majątku, masz dochody, które pozwalają ci urządzić życie podług własnej twej woli, masz przyjaciół pra-

gnących jedynie ci służyć? Jak możesz mówić, że nie masz szczęścia?

Lady Clyde wyrwała się z ramion, które ją życzliwie opasały i zaczęła szybko chodzić po pokoju.

— Masz pani słusność — rzekła. — Wszystko to posiadam, a przecież czuję próżnię w życiu. — Ale będę, muszę być szczęśliwą. Wszystko teraz — zależy od Alfredka!

— Tak i szczęście serca i stanowisko twoje w świecie zależy od Alfredka, — rzekła Eleonora.

— Jest mi niedobrze, — rzekła Floryna. — Patrz jak mnie ręce palą, a przytem mi zimno. Jestem chora z pewnością. Głowa mnie strasznie boli.

Rzuciła się gwałtownie na kolana przed Eleonorą, jęcząc. — Jestem chorą, ratuj mnie!

Eleonora wstała spiesźnie z krzesła.

— Rozchorujesz się niezawodnie, jeżeli nie zachowasz się spokojnie, — rzekła. — Zadzwoń na służącą i musisz się położyć.

— Tak, chciałabym zasnąć. Straszny mam zamęt w głowie. Widzę nasz dom w Indii, twarz Ruperta, pokład okrętu, ulice Londynu — jasną główkę Alfredka — zielony kraj nad którym się wiosna uśmiecha, ten zamek stary, rysujący się dumnie na widnokręgu — twoją twarz i tę drugą: ogorzałą, podobną do Ruperta, widzę — o Boże czy już umieram?

I krzyknawszy, blada, z zamkniętymi oczyma, padła bez zmysłów na posadzkę.

ROZDZIAŁ IX.

Widząc że Lady Clyde zemdlą, Eleonora zadzwoniła spiesźnie, za chwilę kilka kobiet przybiegło jej na pomoc.

— To jest wasza nowa pani, Lady Clyde, — rzekła Eleonora. — Jest bardzo słaba, podnieście ją i połóżcie na łóżko.

Kobiety usłuchały z pocziwami, litośnemi słowy.

— Bardzo ładna, — szepnęła jedna, a druga dodała; — Za młoda jest na wdowę.

Jedna z nich, odważniejsza, zapytała;

— Gdzież jest jej synek? proszę pani — sir Alfred?

Eleonora odpowiedziała, że dziecko pozostało w Londynie, bo nie było dość silnem, aby znieść podróż.

Był to wielki zawód dla całej żeńskiej służby, która się cieszyła, że ujrzy małego dziedzica, że znowu komnaty Clydesdale rozebrzmia wesołym dziecięcym głosikiem. Otoczyły przyszłą swą panią troskliwymi staraniami, zdjęły z pięknych włosów wdowi czepek i szęptały między sobą, że nagle zmiana klimatu często spowodza chorobę.

Eleonora została przy Florynie. Omdlenie przeszło w sen niespokojny, w którym Floryna wołała wciąż Alfredka. Eleonora dziwiła się, że nie wspomina o mężu, a raz usłyszała, że Lady Clyde szepece coś o djamentach. Lecz robiła sobie wyrzuty za przywidzenie, bo było rzeczą widoczną, że biedna kobieta rozpaczała tak po mężu i pewno była niespokojną o dziecko.

Kiedy Floryna obudziła się z długiego snu, pierwszym jej żądaniem było, aby jej podano wino.

— Nic mi tak nie pomaga na sen, jak kieliszek wina — rzekła — często używam tego środka.

Eleonora spojrzała z litością na biedne, słabe stworzenie, ale zadzwoniła, aby podług życzenia Lady Clyde podano jej kieliszek wina. Floryna wypila go duszkiem i położyła się znowu.

— Spróbuję zasnąć jeszcze — rzekła. — Zdaje mi się że od roku nie spałam.

— We śnie marzyłaś o Alfredku, — rzekła Eleonora.

Lady Clyde spojrzała z przestachem.

— Jak pani wiesz o tem? — zapytała.

— Bo mówiłaś o nim, — odparła Eleonora łagodnie.

— Co mówiałam? — zapytała Floryna żywo.

— Nie mogłam wiele zrozumieć, ale często powtarzałaś imię twego synka i ztąd wiem, że sniłaś o nim.

— Często mówię przez sen wielkie niedoręczności, — rzekła Lady Clyde. — Nerwowe osoby są do tego skłonne, teraz zasnę znowu z pewnością.

Zobaczywszy, że jej chora wpadła w głęboki, spokojny sen, Eleonora kazała jednej z dziewczyn zająć swoje miejsce, a sama poszła do męża. Adryan przechadzał się w galerii obrazów, z chmurą na pięknym czole, ściągniętymi brwiami i zacisniętymi ustami.

— Dobrze że przychodzisz, Eleonoro, — rzekł. — Jestem ciężko zmartwiony.

Żona miała wielki wpływ nad nim. Mogła ułagodzić najgorszy humor, zażegnać wszelkie troski i zmartwienia.

— Jestem w podziwieniu, — rzekł Adryan, — jak biedny Rupert mógł się ożenić z taką kobietą?.. Nie mogę tego pojąć. Nic dziwnego, że pojechał wkrótce umrzeć gdzieś daleko od niej.

— Czy ci się tak nie podoba? — spytała Eleonora.

— Nie mogę wyrazić do jakiego stopnia — odrzekł. — Jestem pewny, że żaden, choć trochę rozumny mężczyzna, nie mógłby znieść towarzystwa takiej kobiety. Co skłoniło Ruperta do małżeństwa? Nie miłość zapewne, bo on, który kochał ciebie...

— Musiał kochać i ją jednakże, — przerwała Eleonora.

— Nie wierzę temu! Po miłości dla ciebie, nie mógł się zniżyć do kochania tamtej i jestem przekonany, że nie z przywiązania się ożenił. Nie w niej nie ma, coby mogło natchnąć miłością człowieka tak szlachetnego, tak idealnego jak Rupert.

— Miłość jest ślepą — zauważyła Eleonora.

— Wiesz i ty, że Rupert nie mógł jej kochać, tylko nie chcesz tego przyznać, Noro. Jesteś o tem przekonana tak dobrze, jak ja, — obstawał Adryan.

— Nigdy w życiu tak zawiedziony nie byłem, Noro, dodał po chwili. — Ta dziwaczna, spazmatyczna kobieta ma być Lady Clyde? W chęci porównania oglądałem portrety babek i prababek naszych. Widzę w koło siebie mniej więcej piękne, ale zawsze szlachetne twarz, jedne słodkie i czule, inne myślące i poważne. Nigdzie wśród kobiet naszego rodu nie widzę takiej lalki bez wyrazu, jak ta łkająca, płacząca po dziecinnej istota.

— Czy jesteś sprawiedliwym dla wdowy Ruperta, Adryana? Jest ładną...

— Ładną! — powtórzył pogardliwie. — Żadne słowo w języku angielskim, tak mi nie brzmi w uszach niemilo, jak ten wyraz: „Ładna“. Ładna twarz jest niczem. Jeden odbłysek duszy wart jest więcej, niż wszystkie ładności, a zwykle nazywamy ładną kobietę młodą, wdzięczną się, a bezmyślną.

— Drogi mój Adryanie, jesteś bardzo surowy.

— Noro! czuję się zrozpaczoną — zawołał Adryan. — Jestem trochę fizjonomistą, a wdowa Ruperta ma twarz, którejbym nigdy nie zaufał. Mówię też otwarcie, że złe dni przyjdą na ten dom stary, skoro rozpoczną się tu rządy takiej Lady Clyde.

— Czy się nie uprzedzasz Adryanie? — Nie można przecież sądzić ludzi z pozoru.

— Można sądzić ludzi z oblicza. Natura umie pisać wyraźnie na czole człowieka, a oko jest odbiciem duszy. Twój łagodny i szlachetny charakter maluje się cały w twej twarzy i to nie przez jej piękność jedynie. To samo było z twarzą Ruperta.

— Sądzisz więc źle o charakterze Lady Clyde z jej oblicza?

— Tak, nie odkrywam w niej ani szlachetności charakteru, ani gorącego serca. Znajduję tam wyraźną próżność, nieograniczone pragnienie używania i nadzwyczajny egoizm. Zobaczysz wkrótce, czy mój sąd nie jest sprawiedliwy?

— Nie przeczę temu, — odparła mu łagodnie żona, — Ale boleję niewymownie.

— Bądź szczerą i powiedz, czy ci się podoba? Bądź szczerą powtarzam i wyznaj prawdę.

— Nie mogę powiedzieć, abym miała pociąg do niej, ale ledwo ze zamieniliśmy z nią słów kilka. Zaczekam jeszcze z objawieniem swego sądu.

— A w jak dziwny sposób przybyła — zawołał Adryan, — Nie przywiązuję wagi do pozorów, ale winniśmy do pewnego stopnia uważać na stanowisko nasze. Co za myśl przyjeżdżać sama jedna, bez żadnej towarzyski, ani nawet sługi. Dla czego nie uprzedziła nas, abyśmy wyjechali na jej spotkanie, i co ją tak pędziło tutaj, że odjechała chore dziecko, aby potem spazmować, gdy wspomni o niem. Ta kobieta niecierpliwi mnie. Nic nie pomoże twój wzrok oburzony. Jest to kobieta niemądra, nietaktowna w najwyższym stopniu.

— Musimy się z nią jednak pogodzić i nauczyć ją rozsądku, — rzekła Eleonora. — Nie możesz przewidzieć co wytrwałość i cierpliwość mogą z niej zrobić.

— W tym razie nie na wiele się zdadzą, Noro. Już, powtarzam to, gniewa mnie niezmiernie, że zostawiła dziecko w Londynie. Zważ tylko, matka, która opuszcza dziecko, wiedząc że jest chore! To brak serca, lub głupstwo niedodowania. Mów co chcesz, to nie może być bez powodu. Albo jest złością i pokłóciła się z siostrą, albo przyczyna była inną jeszcze. Czy wiesz, co przypuszczam.

— Nie, — odrzekła — ale widzę, że jesteś bardziej zirytowany i skłonniejszy do surowości niż kiedykolwiek.

Ucałował piękną twarz, patrzącą nań z łagodną wymówką.

— Może być, bo też sędzę, że było jej tak pilno zobaczyć Clydesdale i dla tego odjechała dziecko. W drodze widać napadły ją wyrzuty sumienia i może pomiarkowała, że postępek jest niewłaściwy. Dla tego potem przyprowadziła nam taką scenę. Tak tylko można sobie wytłumaczyć najpierw opuszczenie dziecka, a potem te strugi łez. Jest chęcią panowania w majątku, który nie jest jej własnością.

— Będzie należeć do niej ze wszystkimi dochodami, aż do pełnoletności syna — odparła Eleonora.

— Dosyć długo zapewne, aby zrujnowała Clydesdale! — zawołał Adryan. — Czuję że ta kobieta nie przyniesie tu szczęścia.

Eleonora chciała uspokoić męża i o ile można przejednać go dla wdowy Ruperta, ale Adryan był niepokieszony. Kochał Clydesdale tak, jak tylko kochać można starą swego rodusiedziębę. Nie czuł wcale zazdrości, gdy Rupert został dziedzicem, przeciwnie cieszył się, wiedząc że majątek Clydów nie mógł się dostać w lepsze ręce, ale teraz bolał na myśl, że nim będzie rządzić próżna, uparta, małoduszna kobieta.

— Pomyśl o tem, Noro, — rzekł — że będzie chciała zaprowadzać różne zmiany. Wygląda na taką, która stare, ciemne rzeźby dębowe rada zastąpić lichem, byle świeżym złoceniem. Skoro tylko wyzdrowieje, pomówię z nią i ofiaruję jej moją pomoc w zarządzaniu majątku. Jeżeli nie przyjmie pomocy ofiary, będzie musiała płacić rządę, a to koszt znaczny.

— Przyjmie z wdzięcznością, zapewniam cię — odparła Eleonora.

— Tak sędzę, — rzekł Adryan, — ale prawdę mówiąc, Noro, mi zdziwiłbym się gdyby sama rządzić chciała.

Ani mąż, ani żona nie wydawali się zachwycać ni na myśl rządów Lady Clyde.

ROZDZIAŁ X.

Gdy nazajutrz rano Floryna otworzyło oczy, obejrzała się po przepysnej komnacie. Aksamitny biały dywan w pęczki róż zasłaniał całą posadzkę; meble były wytworne i delikatnego wyrobu, ściany były pięknie ozdobione doskonałymi kopiami najslawniejszych mistrzów. Bogate firanki z różowej ciężkiej materii, obszyte koronkami, osłaniały trzy wielkie okna, gotowania była przesieczna, a duże stojące zwierciadło stanowiło przez swe ramy prawdziwe dzieło sztuki. W tej chwili, oświecony porannem słońcem, pokój ten był tak wesoły i piękny, że Lady Clyde zachwycona, rozglądała się w około, zapomniawszy o wczorajszych troskach.

— Co też Klara powie na ten apartament? myślała. Ale bez wątpienia są jeszcze piękniejsze pokoje. Nie uważałam nic wczoraj, byłam za nadto chorą. Co też mówiłam? — co oni myślą o mnie? — Mam nadzieję, że się z niczem nie wygadałam, ale nie nie pamiętam, byłam tak rozdrażniona, zdawało mi się, że zwaryuję.

Bardzo była rada, gdy drzwi się otworzyły i zręczna dziewczyna weszła, niosąc wykwinne śniadanie na srebrnej tacy. Postawiła to wszystko na stoliku, a sama podeszła się przywitać z nową swą panią, widocznie uszczęśliwiona wyniesieniem do godności pokojówki mylady.

Eleonora przyszyła przez nią pozdrowienie i dowiadywała się o zdrowie Lady Clyde; przytem dziewczę zapytało, czy mylady pozwoli sobie słuchać aż do przybycia panny służącej.

— Jak się nazywasz? — zapytała niedbale Floryna, nie czuła się wcale usposobioną do szafowania łaskami.

— Nazywam się Mary Dermer, — rzekła dziewczyna, moja matka była mamką sir Ruperta.

— Tak... — rzekła Floryna, — nie wiedząc czy jej należy okazać zadowolenie z tego powodu.

— Pani Clyde sądzi także, że jeżeli mylady będzie potrzebować sługi do dziecka, to jabym była zdana do tego.

— Zobaczę — odparła Floryna. — Nie jestem dosyć zdrową, aby o tem myśleć o tej chwili; za parę dni ci odpowiem.

Wkrótce jednak Floryna polubiła młodą dziewczynę. Adryana i Eleonory obawiała się; czuła ich wyższość i nie była swobodna w ich obecności, z Mary Dermer mogła mówić o wszystkim, co miała na sercu. Wiedziała dobrze iż Klara zabroni jej tych pogawędek, ale póki była chorą, miło jej było mieć Mary Dormer przy sobie i wypytwać o różne szczegóły z dzieciństwa sir Ruperta, które jej dowodziły jak był ogólnie kochany. Mary uczuła, że jest w łaskach nowej pani.

W parę godzin po śniadaniu Lady Clyde chciała obejrzeć pałac; z gorączkową niecierpliwością pragnęła poznać swoją nową siedzibę. Ale gdy Eleonora wytłumaczyła jej, że jeszcze jeden dzień wypoczynku jest koniecznym, Lady Clyde nie śmiała oponować.

Wszyscy i wszystko było na jej rozkazy. Eleonora zmusiła ją do pozostania w łóżku i posłała po najlepszego lekarza w okolicy, a pocziwy Doktor Dent, był uszczęśliwiony że mógł zaliczyć Lady Clyde do swoich pacjentek.

Wybadawszy jednak chorą, nie był z jej stanu zadowolony. Popatrzył na nią uważnie, porozmawiał chwilę, a potem rzekł do Eleonory, że się obawia zapalenia mózgu.

— Czy miała niedawno jakie wstrząśnienie moralne, jaki wielki przestrah? — zapytał.

— Straciła męża, jak panu wiadomo, — odpowiedziała Eleonora.

— Tak ale to już temu kilka miesięcy, a Lady

Clyde zdaje się cierpieć na jakieś silne nerwowe rozdrażnienie.

— Nie wiem o niczem, wyjąwszy chyba przykrość samotnego przybycia do Clydesdale. Zdawała się cierpieć nad tem niezmiernie.

Wtedy Doktor zadał pytanie, które się każdemu nasuwało.

— Gdzież jest jej syn?

— Nie był zdrów zupełnie przy wylądowaniu i ciotka jego, Lady Leestone, została z nim w Londynie na parę dni, — odrzekła Eleonora.

— To bardzo niewłaściwie; dziecko daleko prędzej przyszloby tu do zdrowia. Radziłbym Lady Clyde, aby po niego posłała, tu syn jej będzie miał lepsze powietrze, a nawet lepszą opiekę niżeli w Londynie między obcymi.

— Zupełnie się z panem zgadzam — odparła Eleonora. — Jak tylko Lady Clyde będzie lepiej, poradzę jej, aby posłała po dziecko.

— Dziecko! zawołała Floryna usłyszawszy ostatecznie wyrazy. — Co mówicie o dziecku? — Zerwała się z szeroko otwartymi oczyma i palającą twarzą. — Co się dzieje z dzieckiem? — powtórzyła ostrym głosem.

Doktor zbliżył się i rękę na jej głowie położył.

— Wielkie rozdrażnienie nerwów — rzekł. — Nie mogę tego zrozumieć.

— Co się robi z dzieckiem? — wołała Lady Clyde. — Co mówiliście o Alfredku? — I padła na poduszki ciężko oddychając.

— Nie, droga Lady Clyde — nie; tylko sądzimy, że mu tu lepiej będzie, niż w Londynie — daleko lepiej. Radzę pani posłać po niego.

— Ach czy tylko to — rzekła Lady Clyde, przyszedłszy do siebie. — Przyjedzie; Lady Leestone, przywiezie go, gdy będzie zdrowszy. Mnie samej jest nie dobrze, Doktorze.

— Rzeczywiście, mylady; musisz się pani uspokoić, inaczej może się wywiązać jaka choroba.

Doktor odjechał, myśląc co mogło skłonić gentlemana tak dobrego wychowania jak sir Rupert, do ożenienia się z tą dziwną, drażliwą, nerwową kobietą.

Eleonora wróciła do chorej.

— Kochana Lady Clyde rzekła — co się tak niepokoi, czy możemy co zrobić dla ciebie?

— Chcę widzieć mojego syna — zawołała spazmatycznie młoda matka. — Mojego Alfredka!

— Poślemy zaraz po niego — powiedziała Eleonora.

— O nie, nie! Klara byłaby niekontenta, — zawołała Lady Clyde. — Ona zawsze wie najlepiej, co robić trzeba.

ROZDZIAŁ XI.

Był jasny poranek wiosenny; powietrze napełniała woń kwiatów, świeża zieloność nęciła oko, a świągotanie ptaków zewsząd dawało się słyszeć. Lady Clyde stała na zachodnim tarasie, rada odetchnąć świeżem, wiejskiem powietrzem. Patrząc dumny wrokiem na uroczy krajobraz: czystą, szeroką rzekę i dalekie pola, błonia, pagórki a serce jej przejmowała radość na myśl, że ten piękny kawał ziemi teraz do niej należy.

Adryan Clyde, przechodzący właśnie, pomyślał że nigdy jeszcze tak dobrze nie wyglądała. Zobaczył lzy w jej oczach i to go wzruszyło; były one zapewne wyciśnięte wspomnieniem Ruperta. Zbliżył się, a spojrzawszy na nią przyjaźniej, jak dotąd, wyciągnął rękę i przemówił uprzejmie.

(Dalszy ciąg nastąpi)